Nr. 21 (1221). **Warszawa, 8 (21) Maja 1904 r.** **Rok XXIV.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.



P. Gołuchowski na mękach.

Dnia 14 b. m. zebrały się w Peszcie delegacye. P. Gołuchowski, jako ze wspólnych ministrów najprzedniejszy, jest zawsze głównym w nich reżyserem rządowym; jest też i aktorem i pod obu temi względami ma zadanie ciężkie. Na niego spada całe brzemię odpowiedzialności i wobec tych, którym się naogół polityka jego podoba, ale w szczegółach razi lub dolega, i wobec tych, którzy ją z gruntu za błędną uważając, na ministrze radziby nie zostawić nawet suchej nitki. O jedną tylko grupę może p. Gołuchowski być spokojnym, może też o nią nie dbać: o Koło galicyjskie. P. Apolinary Jaworski, prezes Koła, wybierany na prezesa delegacyi przedlitawskiej, nawet te słabe drgnienia krytyki, które w Galicyaninach sejmu wiedeńskiego niekiedy występują, umie powagą wieku swego i stanowiska, jeśli nie logiką ostrożności, zastępującej mu geniusz, obezwładniać. Przed dwoma, zdaje się, laty, kiedy energia Koła była tak wielką, że posunęła się aż do ukucia piorunów na Prusy za ich niegodziwe wydalanie Polaków, poddanych austryackich, p. Jaworski, nie chcąc sprawić przykrości sobie i ministrowi samem już dopuszczeniem zamysłów tak rewolucyjnych do głosu, uchylił się od wyboru na prezesa delegacyi, dając za powód to, że już niedosłyszy. W tym roku wybór przyjął: widocznie sprawność słuchu już odzyskał; prawdopodobnie też i zwykły jego rozpęd wstecz, zwykłe umiarkowanie, owoc mądrości starczej, uświetni jego tegoroczne prezesostwo.

Na powitanie cesarza w d. 15 b. m. prezes nic zasługującego nawet na uwagę telegrafu półurzędowego nie powiedział, nie przypuszczamy bowiem, aby zgoła nic nie mówił, a właśnie telegraf zupełnie o nim milczy. Niewiele też przyniósł nam z niezawodnie już wygłoszonego przemówienia cesarza-króla. Ważniejsze, jako tako do położenia zastosowane są słówka urywane, ulotne do pojedynczych delegatów o potrzebie gwałtownej uchwalenia nowych funduszów, żądanych przez wspólne ministeryum. W tych żądaniach streszcza się stosunek dynamiczny rządu do narodu w delegacyach tegorocznych; z tych też żądań będzie miał p. Gołuchowski najgorętszy żar pod stopami, jeśli obie delegacye zechcą na niego poważnie dla pobicia go natrzeć, nie minister bowiem wojny, ale minister spraw zagranicznych odpowiada za tę konieczność czy też potrzebę, która żądania podobne dyktuje. Rozumowanie jest dla sejmujących, jako obrońców narodu, proste: Robiłeś złą politykę, zła polityka postawiła monarchię w większem niebezpieczeństwie zewnętrznem, niebezpieczeństwo skazuje ją na wzmocnienie się, wzmocnić się bez pieniędzy nie można: chodź na tortury. I wezmą go w hiszpańskie buty i będą go nawet rozrywali na kole. Przyjaciele, broniąc wszystkiego i na każdym punkcie, krzywdzącą tylko wyświadczą przysługę: p. Gołuchowski istotnie popełniał błędy, ale największym błędem było to, że politykę świata wytwarza nie on, ale świat, i że nie on, drobny robaczek, ale ten wielki potwór zmusza dziś Austro-Węgry do myślenia o przyszłości przez myślenie o działach, torpedowcach i pancernikach i całej organizacyi wojny w pokoju.

Żądania funduszów na wydatki wojenne są ogromne, a ogromniejsze jeszcze same wydatki, na wiele lat aż rozłożone. Szczegóły jeszcze się ukrywają przed wzrokiem, ale suma ostateczna jest już dla wszystkich wiadomą: wynosi 565 mil. koron. Programat samymi rozmiarami wspaniały, może dobry, może nawet niezbędny, ale jeszcze właściwie nieostateczny; podczas spełniania go przez szereg tych lat, na które nakłady rozłożono, zjawiać się będą nowe potrzeby, nowe programata, na nowe szeregi lat rozkładane: i temu dosypywaniu nowych milionów do dawnych nie będzie końca. Jeżeli gdzie, to w monarchii austro-węgierskiej militaryzm występuje w całej swej tłoczącej ludy potędze, bo tam niema wspólnej duszy, wspólnego ogniska celów, marzeń, chęci i wspólnej też, za naciśnięciem tylko duchowej sprężyny wyskakującej gotowości. Co Francuz daje bez krzyku, w cichości woli, stale pochylonej ku żądaniu ofiary, to Austro-Węgier nim się na ofiarę zdobędzie, musi się pierwej nagniewać, najęczeć, nakrzyczeć, jakby odzierany ze skóry. Ogólne położenie świata nic nie obchodzi ani Schoenerera i Wolffa, ani Kłofacza i Kramarza, ani Kossutha i Polony'ego: bo dla nich przedewszystkiem Austrya albo niepowinna mieć żadnego zgoła położenia w świecie — jest niepotrzebną, albo też powinna szukać takiego, któreby nigdy nie było groźnem — porzucić przymierze potrójne, a wsiąknąć w podwójne. Tymczasem, dopóki jedno lub drugie — nicość lub niemoc dobrowolna — nie stanie się rzeczywistością, Austrya musi się zbroić, musi śmierć i niemoc od siebie odpychać, a jedynem do tego narzędziem jest budżet wojskowo-wojenny i rzetelnie mu odpowiadający etat sił, środków i warowni obronnych na lądzie i morzu.

Z całej ogromnej sumy 565 milionów nauka, jaką daje tocząca się obecnie wojna, nakazała żądać na samo tylko sprawienie nowych dział dla marynarki 191 mil. koron. Marynarka nie zadawala się jeszcze takim nakładem: potrzebuje całej flotylli torpedowców i już w budżet bieżący, obecnie uchwalony, na lata 1904—5, wstawiono 34 miliony na ten cel, tak doświadczeniem obecnej wojny uzasadniony. Pięćdziesiąt milionów, potrzebnych zaraz, pochłoną nowe — znowu — działa, mające być dziś ostatnim wyrazem geniuszu balistycznego, ale jutro może stać się igraszką nie-balistycznego dowcipu. Ogół żądań nadzwyczajnych dochodzi do 165 milionów.

Ludy austryackie, nieodczuwające wielkości i samego istnienia wspólnej ojczyzny, z uciążliwością tylko poniosą nowe ciężary. P. Gołuchowski dobrze to czuje i dlatego działa wielkiego kalibru, z których zamierzył ostrzelać pozycyę ludów, oporną opodatkowaniu, wytoczył na poufnej, tajemnej sesyi delegacyi, tak jednej jak drugiej. Coś z tych zwierzeń przebłyśnie na zewnątrz, ale nawet w zwierzeniach samych nie będzie całej prawdy. Widnokrąg zachmurza się nad Europą, choć burza grozy się dopiero w dalekiej Azyi. Potrzeba na wiele lat rozłożona nie jest jedyna: inna jeszcze jakaś, pilniejsza narzuca gwałtownie wydatki, a raczej żądania funduszów, które mogą być jeszcze obrócone na cele wcale niewskazane w planie uzbrojeń.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Japończycy wysadzili w Pi-tsy-uo siły znaczniejsze, niedające się jednak ująć w przybliżoną nawet liczbę: prawdopodobną pozostaje liczba 30,000 wszelkiej broni. Domysłami tylko zastępować można zupełny brak wiadomości o kierunku, jaki obrali. Krótka, na jeden dzień, przerwa w zatamowaniu kolei około Portu Artura wzbudzała mniemanie jakoby, trzymając się pomorza wschodniego, lekceważyli zachodnie, którem ciągnie się kolej. Od 10 b. m. Port Artura jest napowrót odcięty, utracił nawet połączenie telegraficzne podmorskie z Czy-fu, leżącym naprzeciwko, już w prow. szantuńskiej Chin. Japończycy, w samej rzeczy, wylądowawszy w Pi-tsy-uo i niezawodnie na północ przy ujściu rz. Ta-dżuan (-he), zdążać musieli do Siu-anu i Taku-szanu, a nawet, mimo zaprzeczeń, łatwo zrozumiałych, i tę ostatnią miejscowość obrali za punkt wylądowania. Ponieważ wojska rosyjskie opuściły Niu-czuang (Inkau) w zatoce Liaotuńskiej, po drugiej stronie półwyspu, oczekiwane więc z dnia na dzień wylądowanie tamże Japończyków nie znajduje już innej dla siebie przeszkody prócz min, pozostawionych na przyjęcie nieprzyjaciela. Wszystkie te siły, od południa, na linii naturalnego wrośnięcia półwyspu w ląd stały, od Niu-czuangu na Siu-jan do Takuszanu, mają przeznaczony pochód na północo-wschód, ku Haj-czengowi i leżącemu po za nim Lia-jangowi, obu przy drodze żelaznej na półwysep Liaotuński. Do tego samego celu, z zasięgiem aż pod Mukden, zmierzają wojska, które włamały się w Mandżuryę d. 1 maja pod Jalu: Zajęcie miejscowości Kuang-djan siang, wysoko już na mapie ponad Fyn-chuang-czengiem, wskazuje całą przezorność sztabu, tłomacząc zarazem powolność ruchów.

Zestawienie obu kierunków pochodu i wszystkich drobnych na początek linij frontów, gdy się one rozwiną, da linię łamaną: na zachodzie i południu od rzeki Lio-che przez Tsiu-tslingtsy do Sju-hanu, małej forteczki górskiej, stąd na Sza-tsy-hang do Sama-tsy, daleko już na północy i wschodzie. Są to ramiona kąta, który współśrodkowo posuwając się naprzód, dążyć będzie do wygięcia się w półkole, z tem większą dokładnością, im większe siły japońskie wylądowały już i wylądują w pachwinie Niu-czuangu, na krańcu zachodnim. Rozciągłość linii pochodu, górzystość kraju, trudność prowadzenia artyleryi, obawa o skrzydło północne ramienia głównego, które posuwa się już od 3 maja ku górom mandżurskim, a jeszcze dotychczas nie stanęło u przełęczy, gdzie przewidywać można pierwsze starcia — wszystko to wyjaśnia brak wiadomości o tem, co dla gazet i ich publiczności jedynie tylko jest działaniem, gdy dla sztabów, przeciwnie, dokonywające się w cichości ruchy tak jednej jak drugiej strony stanowią już działanie jak najrzeczywistsze. Strategia objawia się nie w starciach, choć i tu ma swą wyręczycielkę, wielką taktykę, poruszającą masami, ale w pochodach, w rozczłonkowaniu wojsk, rozstawianiu ich i poruszaniu ku słabym punktom nieprzyjaciela, a skupianiu w mocne własne. Od pochodów zależą starcia. Największe męztwo żołnierza i bystrość wodza może nie naprawić już tego w bitwie, co się zepsuło w pochodzie własnym lub wskutek nieprzyjacielskiego. Chwila obecna, chwila naprężonej ciekawości i niespokojnego wyczekiwania jest daleko ważniejszą od d. 1 maja; właściwie dzień ten dopiero rozpoczął wojnę, jako grę na szachownicy lądowej, zwalił też na Japończyków trudne zadania, z któremi teraz się ucierają.

Port Artura ostatniej napaści japońskiej w celu zagrodzenia wejścia doznał d. 3 maja; 12-cie starych statków z załogami poszło na ofiarę. Jak widać z doniesień prywatnych, dwa statki uwięzły w gardle morskiem. Strzały i wybuchy, które już po odcięciu portu słyszano w okolicy, pochodziły z rozsadzania tych zatorów. Musiało być ono pomyślnem, jeżeli istotnie torpedowce wypłynęły już na morze. Japończycy, część sił wysadzonych w Pi-tsy-uo skierowawszy na południe ku wielkiej warowni, współczynnie z flotą, dążą do zupełnego opanowania pomorza wschodniego w miejscu najwęższem półwyspu Kuantuńskiego, pomiędzy Talien-wanem i Dalnym a Kang-czau i wyspami Towarzyskiemi. W tym celu oczyszczają pobrzeże morskie z min. W zatoce Kerr, nieco na północ od Talien-wanu, torpedowiec ich, „Miako," natknął się na minę, pękł i zatonął. Opatrzenie brzegów przez dowództwo rosyjskie o niejedną jeszcze przyprawić ich może stratę.

Na tyłach armii japońskiej, na wschód od Jalu, już na Korei, ukazały się spore oddziały kozaków. Strategicznego znaczenia ta siła niema; prawdopodobnie zabłąkała się już po bitwie d. 1 maja, będąc wcześniej wysłaną po nad Jalu, a wskutek przeszkód naturalnych powstrzymaną w pochodzie. Zadaniem jej jedynem — przedarcie się na północ, jedyny ratunek. Daleko poważniejszą byłaby wiadomość o posuwaniu się gen. Leniewicza wschodnio-północną Koreą od Władywostoku. Nie jest ruch taki nieprawdopodobnym, a gdyby się sprawdził, zmusiłby Japończyków czemprę-

---

Ichuda L. Perec.

WDOWA.

Powiewne, szare szmaty mgieł, w pędzie ku sobie, zbijają się w jeden, ciemny i nieprzenikalny kłębek obłoczny. Żar upalny doskwiera. Lada chwila lunie deszcz gwałtowny.

Zwiastuny już się zjawiły: odosobnione, zcicha topniejące kropelki dżdżu.

U stóp pagórka — domeczek.

Niby głowa, szczyt obwinięty w podarty dach słomiany.

— Któż go połata?

Kłębek obłoczny zasłania niby cień tarczę słoneczną. Rychło zmierzch wypełznie.

We wnętrzu domku — ciemność.

Na ognisku w kącie lampa. Lecz sucho w niej, a szkiełka — stłuczone.

Któż kupi nowe? Kto przyniesie oleju?

W izbie duszno, czuć stęchliznę.

Płyta kuchenna bynajmniej nie próżna: trochę glinianych garnków, trochę popiołu, zwietrzała cegła, blaszana łopatka... Ale ani jednej iskierki ognia!

W pobliżu drzwi kilka polan drzewa. Któż je rozłupie?

Gospodarz domu przeleżał prawie rok cały na łożu boleści i zmarł. Grosz oszczędzony, uciułany odejmowaniem sobie od ust przez szereg lat — gdzieś znikł bez śladu.

„Trochę grosiwa uzbieram — myślał stary — żona w błogosławionym stanie, a będzie niezawodnie chłopak. By więc mieć pieniądze na opłacanie nauczycieli."

Bóg dał córkę. To także na dobre. Uciułane grosze będą zaczątkiem posagu.

Wtem przyszła choroba, niby zawieja, znienacka.

Zwolna ulatniały się pieniądze z torebki, a siły — z ciała.

Zczasem poszły także pojedyncze części umeblowania — na chleb, za lekarstwa bezużyteczne.

Naostatek wywędrowała też i maszyna do szycia z tego domu.

Równocześnie z ostatnim śladem dobytku wyniosła się stąd i dusza biedaka...

Mały, płócienny woreczek, służący niegdyś do przechowywania „oszczędności," wisi obecnie obok światła zagaszonego.

Przy samych drzwiach wchodowych żelazny kufer służącej, która wyszła obejrzeć się za innem miejscem.

Ciasną izbę napełnia gąszcz cieni. Na deskach podłogi słoma porozrzucana. Na niej pościelono zmarłemu.

A mury wytrzeszczają małe, czarne ślepki. Są to gwoździe, na których niegdyś wisiały sprzęty domowe i części ubrania, dalej zwierciadło (dobrze, że je usunięto; gdy by wdowa odbicie swej twarzy w niem zobaczyła...) i lampka Chanuka (dla kogóż i poco?). Zwierciadło i lampa—sprzedane; części odzienia — zabrali ich właściciele— w godzinę zgonu nieboraka!

Tam w kąciku — kołyska.

W niej dziecko śpiące.

Na podłodze obok siedzi wdowa, ręką oparta o kołyskę. A jej wychudłe ręce drżą. Oczy bez połysku, krwią nabiegłe, uparcie wpatrują się w sufit, niczego nie dostrzegając...

Tak siedzi ona bez ruchu, bez czucia, prawie bezduszna...

Atoli w jej mózgu toczy się kołem jedna leniwa myśl, jedno słabe wspomnienie...

„Chana — raz jej powiedział — podaj mi nożyce" — i uśmiech zawitał na jego twarzy...

On nożyc wcale nie potrzebował! On chciał, bym się do niego zbliżyła...

A ja natenczas obierałam kartofle...

Czy ja mu też nożyce podałam?..

Nie, nie, w owej chwili właśnie zaszedł ktoś obcy w odwiedziny!

Kto też właściwie wtenczas przyszedł?

Duma i duma. Ale owej osoby, która jej w podaniu nożyc mężowi przeszkodziła, przypomnieć sobie nie może...

Jeszcze ciągle duma. Dziecię natomiast śpi słodko, a uśmieszek błogi igra na usteczkach małej marzycielki.

Przeł. E. Rapaportowa.

dzej do wysadzenia całego korpusu w Gensanie i Ham-hyngu po nad morzem.

Polityka europejska wojenna ma sen niespokojny: ciągle przeciera oczy i ciągle też widzi przed sobą Chińczyka chwytającego za broń. Byłoby to istotnie dla Chin fatalne, dla samej Japonii nawet niepożądane. Już z Francyi i z Niemiec, wcale z sobą nietrzymających, dochodzą zgodne głosy o możliwości nadania walce obecnej charakteru wojny rasowej. P. Doumer, prezes komisyi budżetowej, francuskiej, wyraźnie zagroził taką wojną w razie złamania neutralności przez Chiny. Tak zwani chunchuzi pojawiają się po nad Lao-che, a im bliżej będą Japończycy, tem bardziej też wzrośnie niebezpieczeństwo zbrojnego ruchu politycznego w ludzie chińskim, już nietylko w samych chun-chuzach.

Do Afryki niemieckiej, zachodniej jedzie na wodza gen. Trotha; dostaje ok. 1,000 ludzi posiłków. Damarowie rwą się do walki za przykładem Hererów.

D. 14 b. m. ks. Ferdynand w drodze do Wiednia zobaczył się w Niszu z królem Piotrem, który koronacyę swą odłożył. Podpisano jakieś zobowiązania, konwencyę wojskową z przymierzem „odpornem.“ W Sofii wypierają się tych robót; ks. Ferdynand bowiem niema prawa traktatów. Ks. czarnogórski ma przystąpić do spółki. Wypadki poważne, kierowane przez dyplomacyę.

Tego samego dnia p. Gołuchowski zagajał delegacye w Peszcie. Wszystko jak najlepiej: porozumienie się z Rosyą wyborne; Turcya zmądrzeje; reformy wchodzą w życie — tylko Austrya potrzebuje nowych milionów na nowe uzbrojenia. A jest tych milionów aż 165.

Tybetańczycy opierają się. Znaleźli doskonałe karabiny i niezłe działa. Anglicy zapewne się cofnęli z pod Hian-tse; ale powrócą z wielką wyprawą. -- Mówią już o opanowaniu Tybetu.



Z Dalekiego Wschodu.

KLUCZ WSCHODU.

(Ciąg dalszy).

Znaczne dochody daje Korejczykom hodowla rośliny leczniczej żeń-szenia (panax ginseng, po korejsku — sam). Wartość ma wyłącznie jego korzeń. Przypisują mu własności cudowne przedłużania życia i nieledwie odmładzania starców. W istocie jest to środek pobudzający, do którego można się przyzwyczaić, jak do opiumu lub morfiny *). Opowiadano mi, że jego nadużycie sprowadza obłęd, a następnie śmierć. M. A. Pogio twierdzi, że wywołuje on choroby zapalne **). Nadzwyczaj poszukiwany jest korzeń dzikiego żeń-szenia, który zdarza się jeszcze znaleźć w odludnych ostępach Mandżuryi i Korei północnej. Za taki korzeń płacą Chińczycy bajeczne sumy, do kilku tysięcy dolarów za sztukę. Do rąk prywatnych dostaje się on jedynie jako kontrabanda, gdyż uważany jest za własność dworu cesarskiego w Chinach i królewskiego w Korei. Korzeń dzikiej rośliny jest duży, długości od jednej do 4 stóp i grubości $1^1/_2$ do $2^1/_2$ cali średnicy. Korzeń uprawnego żeń-szenia o wiele mniejszy i *tysiąc razy* tańszy. Uprawą jego trudnią się przeważnie w prowincyi stołecznej Kion-gyj-do, i w południowej Kion-sań-do. Tam często można zobaczyć otoczone płotami niewielkie, morgowe plantacye tej rośliny. Są one zaorane w wysokie zagony, na paręset stóp długie i do czterech szerokie. Każda grzęda nakryta od strony południowej pochyłym, niskim daszkiem z rogoży, gdyż żeń-szeń znosi doskonale zimno, nawet mrozy, ale nie lubi światła. Ziemia odpowiednio wybrana powinna być dobrze uprawna próchnicą z liści z piaskiem. Każda roślina jest wciąż starannie okopywana, opielana i zażywiana; wykopują ją najczęściej dopiero w czwartym roku, ale często pielęgnują znacznie dłużej, do lat 10, gdyż im jest starszą, tem ceni się drożej. Po wykopaniu gotują korzeń długo w wodzie, suszą w suszarniach, ogrzewanych węglem, oczyszczają z drobnych przyrostków, zawijają po jednemu oddzielnie w papier i pakują do niedużych koszyczków po 10 funtów każdy. Koszyczki, zrewidowane i oplombowane przez urzędników celnych, idą dopiero na sprzedaż. Płacą za każdy od 12 do 14 tys. dolarów, zależnie od sezonu i gatunku żeń-szenia. Zwykły, czerwony korzeń (hon-sam) mniej jest ceniony, niż żółtawy, skoro oba zostały wygotowane; jeszcze tańszy jest biały, niewygotowany, używany wyłącznie w samej Korei. Wywóz pierwszych dwóch gatunków jest wzbroniony dokądkolwiek, z wyjątkiem Chin.

Ilość wyprodukowanego żeń-szeniu sięga w Korei rocznie 50,000 funtów. W 1897 roku urodzaj jego oceniono na 1,200,000 dolarów.

Oprócz żeń-szeniu i bawełny sadzą Korejczycy w znacznej ilości tytuń (tambe), który dostał się tu z Japonii w XVI stuleciu i jest obecnie w powszechnem użyciu, palą go kobiety i mężczyźni, nawet dzieci.

Sadów w Korei mało, ale koło każdej wioski dostrzedz można gaj słodkich kasztanów (chuanniuri), a u wielu chat pojedyncze drzewa owocowe, lub małe ich grupy. Przeważa kaki (separys kaki, po korejsku — kaam), owoc czerwony, jabłkokształtny, miękki, smaczny i zdrowy. Korejczycy sprawiedliwie szczycą się swojem kaki, które jest o wiele smaczniejsze od japońskiego. Prócz tego są tu gruszki (paje, cham-paje), jabłka (nyngimi-kemi), śliwki (ueci), brzoskwinie, fistaszki, orzechy i dość dobre winogrona (phodo, mor-gur-i), choć wogóle owoce mają w Korei smak nieszczególny, są wodniste i nie pachną *). To samo dzieje się z kawonami, melonami, ogórkami i dyniami, które nawet z dobrych nasion wyradzają się niezwłocznie w wielkie, wodniste, niesmaczne, pełne nasion baniska. Winogrona dojrzewają w całej, nawet północnej Korei. Rośnie tu też morwa, drzewo papierowe i woskowe oraz rośliny farbiarskie: polygonium tinctorium (kolor granatowy), canthanus tinctorius (czerwony) i lithospermus erythrochizon (fioletowy), ale uprawa ich o wiele słabiej jest rozwinięta, niż w Chinach i Japonii. Krzewu herbacianego wcale niema w Korei, chociaż jej klimat i gorzystość w południowych okolicach bardzo odpowiada hodowli tej rośliny. Herbaty (ccha) używają Korejczycy mało; zastępują ją zwykle liśćmi tarniny z domieszką imbiru lub owoców czworczaka (torreya nucifera), przywożonych z Japonii. Ale mają w swych sadach im tylko właściwe drzewo owocowe, rodzaj korejskiego cedru (canangi), z którego orzeszków, zmieszanych z mąką ryżową i pyłkiem kwiatowym sosny sporządzają smaczne łakocie.

Po za tem pielęgnują jeszcze Korejczycy przy domach w ogrodach kwiaty dla siebie i na sprzedaż, ale znacznie mniej ładne i w mniejszej ilości, niż Japończycy, a i te, wspanialsze, o które pytałem, okazywały się prawie zawsze z nasion japońskich.

W przeszłości—Chiny, a obecnie na każdym tu kroku Japonia... Japonia... Japonia!..

Naogół technika rolnictwa korejskiego odpowiada wrażeniu całego układu korejskiego. Ona nie jest złą, nie jest nawet niedbałą, ale streciła tężyznę pracy, dążącej do swego udoskonalenia, pragnącej go i wierzącej w nie. Dziwny kontrast z Japonią, gdzie wszystko drga od tej wiary i od tego napięcia.

VII. Wioska So-kio.

Całą drogę, począwszy od An-bionu, prał nas z krótkiemi przerwami deszcz, ten specyalnie korejski deszcz „kanyn-pi,“ co to nie pada z góry, lecz w kształcie drobnego tumanu leci równolegle do ziemi w podmuchach przejmującego wiatru. Aby się odeń trochę zabezpieczyć, rozpiąłem ku wielkiemu przerażeniu mojego wierzchowca parasol i osłoniłem się nim, jako tarczą. Mój ton-sa narzucił na ramiona zamiast płaszcza swą czerwoną kołdrę, a na piękny, ażurowy kapelusz włożył kołpak z naoliwionego papieru (kal-mo), który niósł dotychczas złożony za pasem, jak wachlarz. Jedynie ma-fu (ma-phu) niczem nie okrył przeziębłych członków, może nie miał odzienia, a może nie pozwalała mu na troskę o siebie... głęboka po rodzicach żałoba. Nasunął więc tylko głębiej na twarz swój ogromny jak kosz kapelusz i szedł posępnie obok koni, chowając się za ich ciała przed wichurą. Ubocznemi ścieżkami przebyliśmy cały szereg falistych wzgórzy, jarów, strumieni, wklęsłości i znowu wyszliśmy na wielką drogę seulską. Ale przedtem po wątłym mostku korejskim przebyliśmy piękną, szeroką rzekę, nad którą wznosiły się z lewego brzegu czarne, urwiste skały, a na prawym, na podgórzu, widniała wioska.

Znowu zjawił się tyczkowaty telegraf z rozmaicie pochylonymi słupami, jakby opartymi czołami na nikłym, pojedynczym drucie. Na wzgórku, gdzie zbiegły się drogi, stała nieodzowna mała kapliczka z wachlarzowatym okapem i pomnikiem cnotliwego urzędnika w środku. Oczywiście, cnota kwitnie niezwykle wśród biurokracyi korejskiej!.. Obok zieleniał śliczny gaj starych, potężnych drzew.

Minęliśmy kilka wiosek wtulonych w parowy, poczerniałych i obmokłych od szarugi. Były to po większej części małe i ubogie wioseczki „ton“ lub „don“; większe wsie zwą się „cchoń“; sioła — „syi-goy-ri“ albo „syi-kol“, duże osady, prawie miasteczka — „mai-ri,“ miasta — „ybi“ lub „koy-ri“, miasta okręgowe (phal-do) — „kameni“, „cnybi“. *) Na kupionej przezemnie mapie japońskiej do wielu nazw, które kazałem sobie przetłomaczyć dołączone są stale końcówki „czem“ **) (stacya pocztowa), „don“ (wioska) oraz „li“ — „i“ lub „ni“. Otóż, tłomacz objaśnił mi, że to są wszystko nazwy wsi rozmaitej wielkości. Szczegółowsze wszakże badania przekonały mię, że „i (li)“ albo „ni“ jest w istocie nazwą nie wsi, lecz pierwszej jednostki samorządu włościańskiego, że sadyby (don) mniejsze, niż z 30 domów, mogą się łączyć w jedną „ni“ choćby oddzielała je kilkowiorstowa odległość.

Korejski samorząd włościański ma bardzo mały zakres i prostą organizacyę. Co rok, zaraz po nowym Roku w każdej „ni“ wybierany jest *sołtys* (dzoń-yj), przez wszystkich gospodarzy społem oraz *pisarz* (sio-gyj), następnie *pod-sołtys* (tu-miń) pomocnik i zastępca sołtysa oraz płatny woźny (ha-ju-sa). Reszta przedstawicieli wioskowych jest niepłatna. Kilka lub kilkanaście „ni“ łączy się w gminę „mioń“, na której czele stoi obieralny *wójt* (czi-han) z *pisarzem* (ciogyj). Do pomocy dodają im płatnego woźnego (ha-ju-sa) i listowego (mioń-czju).

*) Używają zwykle spirytusowej nalewki żeń-szenia.
**) „Korea,“ wydanie niemieckie, str. 110.

*) Na Quelparcie rosną małe pomarańcze (nyngy-

*) Słownik rosyjsko-korejski M. Pucillo, str. 114 i 136; Rosyjsko-korejski słownik. A. I. Tajszin, s. 7 i 8.
**) Turańskie „dżam.“

Ten ostatni może być uwolniony ze służby jedynie za znaczne przewinienie i z przyzwolenia naczelnika powiatu, co czyni ze skromnego na pozór pocztyliona *osobę* niezależną od gminy i do pewnego stopnia kontrolującą jej działanie.

Właściwie cały włościański samorząd korejski sprowadza się do roli policyi wioskowej i poborców podatkowych. Obowiązany on przedewszystkiem przedstawiać rządowi rok rocznie spis ludności i wykaz dochodów każdego mieszkańca; następnie chwyta przestępców i pilnuje wypłaty podatków, stanu dróg, mostów, kanałów, lasów, magazynów zbożowych, szkół, kas zaliczkowych i oszczędnościowych; powinien też dbać o podniesienie poziomu rolnictwa, o stan zdrowia gminy, pomagać w klęskach członkom niemi dotkniętym, pilnować sprawiedliwego rozkładu prac obowiązkowych itd.

Wszystko to wygląda ogromnie pięknie w opowiadaniach urzędników, lecz w istocie nie istnieje, tknięte zarazą biurokratyzmu. Zebranie wioskowe, składające się z przedstawicieli wszystkich rodzin, zależne jest od sołtysa, którego protest wstrzymuje wszelkie postanowienie lub oddaje je do rozpatrzenia zarządu gminnego składającego się z wójta, wszystkich sołtysów i deputowanych po dwóch z każdej wioski. Postanowienie oprotestowane przez wójta zostaje odesłane do naczelnika powiatu i gubernatora. Dwa razy do roku ci urzędnicy obowiązani są składać raporta ministrowi spraw wewnętrznych o postanowieniach samorządu wiejskiego. Rzecz prosta, że te postanowienia mogą mieć jedynie wygodę skarbu i władzy na względzie, o wygodę zaś chłopa nikt się w Korei nie troszczy.

Jako przykład przytoczę historyę tutejszych magazynów zbożowych. Powstały one pono jeszcze w XVI stuleciu, po wojnie z Japończykami w celach wojskowych. Każda gmina miała niby taki magazyn, z którego wydawano w celach odnowienia ryżu pożyczki ziarnem na wiosnę ze zwrotem w jesieni za opłatą 10%. — Rozumie się, iż magazyny te z biegiem czasu znikły i ryż wpływał wprost do kieszeni urzędników. Dopiero w r. 1894, roku reform i prób znalazł się taki śmiały i uczciwy gubernator (z prowincyi Kan-juön-do), który podał raport o położeniu rzeczy cesarzowi. Raport został ogłoszony w gazecie rządowej *), i polecono przeprowadzić reformę. Gminy uzyskały więcej wpływu na los składanego przez się zboża, lecz ponieważ nadzór nad nim pozostawiono urzędnikom państwowym, należy się spodziewać że w wielu miejscach ono już znikło, a gdzieindziej zniknie niezadługo.

(C. d. n.)

W. Sieroszewski.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Święto pomocy dla dzieci.

Tak nazwano w Kopenhadze jeden dzień wiosenny w roku bieżącym, który za przykładem Anglii, gdzie takie święto obchodzą od lat wielu, postanowiono przeznaczyć całkowicie i wyłącznie na korzyść biednej, słabowitej, zagłodzonej, w złem powietrzu zawiędłej dziatwy miejskiej.

30 komitetów zajęło się agitowaniem i organizacyą uroczystości. W restauracyach, cukierniach, kawiarniach, we wszystkich lokalach, dla publiczności otwartych, umieszczono skarbonki, których 15,000 podarowała komitetom jedna z firm miejscowych. Wielkie domy handlowe, banki, sklepy, magazyny, wszelkiego rodzaju przedsiębiorstwa prywatne ofiarowały 10% od swego dochodu w tym dniu. Miasto przystroiło się odświętnie — w kwiaty, w nastrój weselny, w blaski słoneczne pogodnego nieba. Na ulicach, placach, dworcach kolejowych, w parkach — gdzie tylko ludzi znaleźć można, kwestowały najpopularniejsze osobistości, najpiękniejsze kobiety, największe artystki i arystokratki. Wszystkich w dniu tym ożywiała jedna myśl, przejmowało jedno uczucie, jedno pragnienie, rozgrzewające im serca, rozjaśniające duszę, pobudzającej do szlachetnej szczodrobliwości. Dla dzieci! dla tych, co po nas idą, co dźwigną znamię przez nas podtrzymywane i poniosą je dalej!

150,000 koron złożyła w tym jednym dniu Kopenhaga do rozporządzenia Tow. opieki nad biednemi dziećmi. Piękna, obywatelska danina, której niewolno nam nazwać jałmużną, bo wypłynęła z poczucia obowiązku względem siebie samych, z serdecznej potrzeby pomożenia najsłabszym, najbezbronniejszym, z świadomości, że w tych małych istotach drży utajone nasze jutro, które takiem będzie, jakich mu obrońców wyhodujemy. Tak zapewne rozumowali Duńczycy w dniu 6 maja. A my co? My mamy Tow. kolonii letnich, liczące 840 członków na blizko milionową ludność Warszawy, o którego istnieniu nie wszyscy, zdaje się, wiemy, któremu już napewno mało kto z nas uważa sobie za obowiązek pomagać w pełnieniu tak ciężkiego zadania, jakiem jest u nas wszelka praca społeczna. Każdy mniema, że jego udział w tej pracy nie jest konieczny — że może dać coś z siebie lub nie dać — jak łaska. A tymczasem to jest mus, coś czego zaniedbać niewolno tak, jak wypłaty długu honorowego.

Biedne dzieci potrzebują jednak nietylko świeżego powietrza, zdrowego i obfitego pokarmu, co przez kilka tygodni w ciągu lata zapewnić może garstce wybrańców Tow. kolonij. Należałoby każdemu dziecku, mającemu złych rodziców lub pozbawionemu ich zupełnie, każdemu nędzarzowi nieletniemu dać przytułek, naukę, wychowanie i kierunek na przyszłość. Tow. kolonij letnich mogłoby rozszerzyć swą działalność i, przeistaczając się w „Towarzystwo opieki nad dziećmi," te siły, jakiemi dziś rozporządza — siły, nie środki — zużytkować w kierunku zorganizowania różnorodniejszej i bardziej ogólnej czynności. Co zaś do środków, tych, naturalnie, Towarzystwo obecnie nie posiada. Ale dlaczego zdobyćby ich nie miało? Organizuje się podobno Tow. opieki nad chłopcami i Tow opieki. nad dziewczynkami. Czyżby te rozstrzelone usiłowania nie dały się złączyć w jedno pod tarczą starszej i doświadczeńszej instytucyi Tow. kolonij letnich przekształconego w „Towarzystwo opieki nad dziećmi"? Takie połączenie prócz innych korzyści przyniosłoby prawdopodobnie wzmożenie zasobów materyalnych, ułatwiło gromadzenie ich, zapewniło słuszniejszy rozdział i sprawiedliwsze uwzględnienie potrzeb danej chwili. Wtenczas dałoby się może i u nas urządzić takie święto majowe, „święto pomocy dla dzieci," kiedy każdy mógłby dać — ten 1 rubla, ów kilka kopiejek, ale każdy bez wyjątku, biedny czy bogaty. A wobec tego, że jest nas tu, w tej Warszawie blizko milion, zebralibyśmy chyba więcej, niż 150,000 rubli jednorazowego wpływu na potrzeby biednych dzieci, dla zdrowia ich ciała i ducha. Rzucamy myśl, pełni wiary, że się znajdzie człowiek gorącego serca i silnej woli, który ją w czyn zamieni.

Sep.

*) Korejsko-chińska gazeta rządowa, 11 i 21 września 1892 r.

Wmawianie.

Wśród narodów europejskich odznaczamy się skłonnością do wyszukiwania w sobie wad.

Jest to najlepsza droga do poprawy, jeśli się nią idzie z pewnym zapasem logiki, ale gdy przechodzi w manię, odzywającą się bez racyi przy każdej sposobności, jest chyba tylko dowodem charłactwa duchowego, braku woli i myśli, braku wiary w swe siły i skłonności do biernego opuszczania uszów.

Mogą się ucieszyć kolekcyoniści naszych wad narodowych odnalezieniem jeszcze jednej, kapitalnej, a mianowicie zdolności do podlegania suggestyi i braku własnego [illegible]

Mieliśmy tego świeży przykład.

Towarzystwo gazowe ma zwyczaj rozsyłania impertynenckich wezwań do swych klientów warszawskich. Jeden z nich „śmielszej natury" zaprotestował w pismach. Niektóre gazety poparły to wystąpienie, nadmieniając coś o grzeczności kupieckiej, o „nosie i tabakierze" i przyznały, że Towarzystwo gazowe traktuje nas prawie, jak oszustów.

Wówczas Towarzystwo gazowe, nie zapierając się rozsyłania odezw takiej treści, oświadcza w swej obronie, że w roku ubiegłym przy 9,000 automatów gazowych znalazło w puszkach 64,638 jednokopiejkówek i 12,798 monet fałszywych, guzików i blaszek zamiast 77,436 czterdziestówek, które rzetelnie za gaz mu się należały. Miało to być widocznie argumentem, że zasługujemy na takie traktowanie.

I nagle wszystkie pisma zmieniły front i zawołały: „Biedne Towarzystwo gazowe! Ma słuszność nas traktować jak oszustów, bo nimi jesteśmy!"

Tymczasem nim wydamy sobie taki patent, weźmy ołówek do ręki i spokojnie zróbmy małe obliczenie.

Naprzód zapytajmy szan. Tow. gazowe, wiele otrzymało sztuk czterdziestówek fałszywych? Jest to szczegół bardzo ważny, a utopienie go w powodzi blaszek i guzików co najmniej dziwnem przy motywowaniu szorstkiego traktowania klientów.

Musimy bowiem zaznaczyć, że automatów gazowych nie można mieszać z automatami stawianymi na ulicach, dworcach kolejowych itd. Gdy te ostatnie są dostępne dla wszystkich, pierwsze znajdują się wewnątrz mieszkania prywatnego, którego posiadacz jest odpowiedzialny wobec Towarzystwa gazowego. Gdy więc wrzucenie guzika lub kopiejki do automatu ulicznego jest oszustwem w celu pozyskania czekoladki lub innego przedmiotu, to w automatach gazowych nie może być mowy o usiłowaniu oszukania, bo wiadomo, kto nieodpowiednią monetę wrzucił, i przy otworzeniu automatu przez poborcę należy tylko zażądać wymiany guzików i kopiejek na czterdziestówki.

Nikt chyba przy zdrowych zmysłach nie przypuści, żeby kasyer Tow. gazowego mógł się „wziąć na guzik."

Chęci oszukania moglibyśmy się dopatrywać tylko we wrzuceniu *czterdziestówki fałszywej.* A i to niebardzo prawdopodobne, bo czyż nie łatwiej pozbyć się fałszywej czterdziestówki w jakimś sklepie, na targu, w tramwaju, niż wrzucać ją do automatu stojącego w *mojem własnem* mieszkaniu? Na taki „podstęp" mogłoby się zdobyć chyba dziecko kilkoletnie.

Ponieważ Tow. gazowe nie ujawniło liczby sztuk fałszywych, możemy więc tylko błądzić w przypuszczeniach; ale dajmy na to, że w liczbie 12,798 guzików, blaszek itp. połowa była czterdziestówek fałszywych. Wówczas rachunek wykaże, że na setki wrzuconych wypadnie w ciągu roku

prawie *po jednej fałszywej na każde dwa automaty*. Jeśli przypuścimy, że pewna liczba sztuk fałszywych mogła być wrzuconą bez świadomości i w dobrej wierze, to i ta maleńka ilość ulegnie znacznemu zmniejszeniu. Jak widzimy, góra urodziła mysz.

Jak jednak objaśnić znalezienie w ciągu roku owych 70 tysięcy kopiejkówek, blaszek i guzików?

Czy chęcią oszukania Tow. gazowego?

Wyjaśnienie jest bardzo proste.

Przezorność nie należy do naszych przymiotów narodowych, więc często dopiero w chwili, gdy gaz zaczyna przygasać, spostrzegamy, żeśmy nie wrzucili do niego nowej czterdziestówki, ale i monety tej możemy nie mieć przy sobie. Chętnie rzucilibyśmy rubla srebrnego, lub wsypali kilka sztuk drobniejszych, ale to nie da żadnego rezultatu. Tymczasem wrzucona kopiejka, a w braku niej guzik lub w najgorszym razie fałszywa czterdziestówka, która nie ma już pretensyi udawania dobrej, a których kilka zawsze leży na dnie każdej kasy sklepowej, zapała nam światło natychmiast. Jednakże wrzucona sztuka może być wyjętą tylko przez poborcę, czekamy więc spokojnie jego przybycia i wykupujemy wszystkie kopiejki i guziki bez najmniejszego zawstydzenia, bo nie mieliśmy zamiaru i nie moglibyśmy ukrywać się z nimi. Nawet czasami odmówienie wymiany guzika na czterdziestówkę ma swoją podstawę, bo jeśli wrzucić blaszkę zbyt małą, ta przeleci, lecz mechanizmu nie poruszy. Poborca więc zamiast domagać się za nią czterdziestówki powinien ją zmierzyć i zwrócić bez żadnej pretensyi.

Skąd więc powstało tyle krzyku?

Z bardzo prostej przyczyny. Towarzystwo zaskoczone zarzutem impertyneckiego traktowania nas wszystkich ryczałtem, musiało się wykręcać choćby sianem. Zamiast usprawiedliwić się i przeprosić, wolało upierać się przy swojem i rzucić na ogół już wcale niedwuznaczne oskarżenie.

A my co na to?

My zamiast odeprzeć potwarz z pogardą, na jaką zasługiwała, zaczęliśmy bardzo skwapliwie potakiwać jej. A teraz trzeba tylko, aby zgodny ten okrzyk całej naszej prasy zaczęły rozwałkowywać różne pisma hakatystyczne i wrogie nam organa zagraniczne.

Stanowczo jesteśmy uprzejmem medium do wszelkich wmawiań nawet takich, w których mamy występować jako oszuści nietylko z wyrachowania, ale wprost odruchowo z wrodzonego instynktu.

* * *

Wszędzie towarzystwa gazowe wysilają się na coraz nowsze udogodnienia, zachęcające do używania gazu do oświetlania. Pobierają one opłatę w stosunku do ilości spalonych stóp lub metrów sześciennych gazu, które ujawnia ustawiony w mieszkaniu gazomierz. Koszt całego urządzenia spada zwykle na spożywcę, lecz zagranicą osoby mniej zamożne (co określa wysokość płaconego przez nie komornego, w Paryżu np. mniej, niż 500 fr. rocznie), mogą żądać zaprowadzenia gazu bezpłatnie i kompania gazowa nietylko urządza na swój koszt rury i palniki, ale nawet daje do użytku bez żadnej opłaty własny gazomierz i własną kuchenkę przenośną.

Warsz. Tow. gazowe dalekiem jest jeszcze od takich udogodnień. Wprowadziło jednak coś, co ma pozory urządzeń zagranicznych, a mianowicie — automaty gazowe. Kto chce, może mieć gaz zaprowadzony kosztem towarzystwa, ale musi wnosić opłatę przez wrzucanie do automatów 20-to kopiejkówek. Po wrzuceniu pieniądza gaz zaczyna dochodzić do palnika, a po spaleniu pewnej ilości gazu aparat sam się zamyka i płomień gaśnie. Można też wrzucić do automatu kilka czterdziestówek odrazu. Kopiejka lub guzik tej samej wielkości działa także na aparat. Automaty zaprowadzają u siebie ludzie biedniejsi: po sklepach, fryzyerzy itp., jednem słowem ci, których nie stać na zaprowadzenie gazu własnym kosztem.

Ale, niestety, przy systemie automatycznym gaz jest obliczany daleko drożej. Gdy więc wszędzie dla biedniejszych konsumentów robi się ulgi, u nas niezamożnemu pod pretekstem owego automatu każe się płacić za gaz drożej, niż bogatemu.

To się nazywa wprowadzaniem udogodnień i demokratyzowaniem się instytucyi.

Kropka.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Nałóg życia.

Życie zwykle niszczy życie. Podaje bowiem codzień człowiekowi jedną z owych trucizn, do których on się szybko przyzwyczaja i rozstać się z niemi nie może, chociaż widzi, że go powoli zabijają. A zdarzają się nieraz takie nędze ludzkie, w których życie traci wszelką przyjemność używki, pozostaje tylko wstrętnym, niepokonanym nałogiem.

Było zaś ono takiem nie dla jednostek, lecz dla ogółu, nie w pewnej epoce, lecz zawsze. Zachodziły tylko różnice stopni: pewne osobniki w pewnych okresach trują się mniej i wolniej, inne w innych — więcej i prędzej. Niektóre zaś — bardzo nieliczne — posiadają świadomość tej kolei i głoszą tęsknotę do niebytu. Urągano pesymistom, że pomimo obrzydzenia życia dbali o nie i bynajmniej nie starali się go skrócić. Zarzut niesłuszny: przecie alkoholicy i opiumiści, uznając szkodliwość zażywanych narkotyków, nie porzucają ich. Nałóg chodzi jedną drogą a rozum drugą— i nigdy się z sobą nie spotykają. A życie jest nałogiem najsilniejszym.

Zaprzeczyć trudno, że nasz czas wsącza w nie krople trujące obficiej, niż inne pory. Dlaczego? Jak zwykle: ci, co należą do wyjątków, zbyt wielkim skokiem oddalili się od tych, którzy należą do reguły. Pomiędzy drobną mniejszością a olbrzymią większością tak się rozciągnęły i pogłębiły różnice zasad, przekonań i dążeń we wszystkich kierunkach, że na tych szeroko rozwartych przepaściach zapadły się zupełnie dawne kładki i mosty. Członkowie tej samej gromady zaledwie się znoszą i wzajemnie przebaczają sobie swoje istnienie. Kochają się frazesem, wyrazem, złudzeniem, ideą — ale nie szczerem uczuciem. Powtarzają i wierzą w to, że braci i rodaków trzeba miłować, ale ta miłość nie ogrzewa wcale ich serc. Są sobie straszliwie—obcy pomimo pokrewieństwa, współżycia, licznych stosunków i ścisłych związków. Nie dzielą ich waśnie istot równych i podobnych, ale nienawiści —odmiennych. Stwierdzono niezbicie, że dziś żadne społeczeństwo nie trzyma się siłą wewnętrznego zrostu lub przyciągania, lecz tylko siłą wewnętrznego skupienia. Moralistów, socyologów, polityków ogarnia przestrach: nie widzą bowiem ani jednej podwaliny życia zbiorowego niepodważonej, niespróchniałej i podpierającej całą jego budowę. I rzeczywiście: co jest wspólnego między niepodległym badaczem a sfanatyzowanym bigotem? Ile punktów stycznych istnieje w Niemczech między kanclerzem Bülowem a posłem Beblem, lub w Galicyi — między hr. S. Tarnowskim a p. I. Daszyńskim? Posługują się tym samym językiem? Jakże to mało! Na takiej łączności może wyrosnąć las przeciwieństw. A czy jest jakakolwiek instytucya, jakakolwiek forma życia społecznego, na którą godziliby się wszyscy? Rzecz naturalna, w takich warunkach musi się rozwijać albo czynna złość, albo bezczynna apatya, ten rozjątrzony lub melancholijny pesymizm, który jest znamienną cechą chwilowego nastroju.

„Nie mogę zaprzeczyć — pisze do mnie pewien chory na smutek — że życie sprawia mi jakąś przyjemność, której określić nie umiem. Czy jest ona poprostu sumą drobnych zadowoleń, wzroku, słuchu, dotyku, węchu i smaku — czy też posiada nadto jakąś rozkosz własną, doznawaną przez instynkt samozachowawczy, nie śmiem orzec. Trudno mi wszakże pojąć, ażeby ta suma we mnie przeważała masę wstrętu i przykrości, które ciągle odczuwam. Przypuśćmy, że to, co w ciągu dnia zjem lub zobaczę i czego wogóle doświadczę, posiada dla mnie znaczną wartość zmysłową; ależ ja na takie ponęty nie jestem zbyt wrażliwy, a przytem moja analizująca myśl ciągle je rozkłada i wykazuje ich nicość. Myśl ta również pracuje ustawicznie nad rozbiorem warunków mojego bytu i ciągle dochodzi do wniosku, że on jest raczej niezasłużoną karą, niż dobrodziejstwem. Bo proszę tylko zastanowić się: nie ulega żadnej wątpliwości, że gdyby w mojej głowie zjednoczyły się wszystkie rozumy ludzkości i gdybym tak długo żył, jak ona, pozostałbym w stosunku do bezmiaru zagadek wiedzy zupełnie głupim i pozbawionym nadziei, że kiedykolwiek będę mądrym. Jeżeli wszystko, co mnie otacza w naturze, jest tajemnicą, to znowu wszystko, co mnie otacza w społeczeństwie, jest albo uorganizowanym fałszem, albo uorganizowanym przymusem. Gdybym przynajmniej — jak wielu — był przekonany o użyteczności kłamstwa! Szczerze chciałem w nią uwierzyć, bo byłoby to dla mnie ogromną ulgą i doskonałem wytłomaczeniem istoty stosunków i urządzeń ludzkich. Ale nie zdołałem się przezwyciężyć. Wszędzie mrok, mrok lub kłamstwo: gdzie ma się otworzyć źródło zadowolenia?“

Gdybyśmy tę skargę przeczytali prostaczkowi, on by jej wcale nie zrozumiał, czas obecny jest właśnie taką porą, w której społeczeństwa układają się pod postacią bardzo wysokich gór, gdzie zatopione w nizinach podstawy nie pojmują zanurzonych w obłoku szczytów. Skutkiem bardzo nierównomiernego rozkładu kultury w różnych warstwach oś stożka społecznego wydłużyła się tak niepomiernie, że jej punkty dolne są zupełnie obce górnym. Zważmy tylko, czy Maciej Rosada nie wygląda obok Stefana Żeromskiego, który go ślicznie opisuje, jak goryl obok Darwina, który go także ślicznie opisał? Czy współczesnych gatunków jednego społeczeństwa nie możnaby rozmieścić na różnych planetach i w różnych wiekach? A którykolwiek z nich otrzymuje przewagę i wytwarza warunki życia dla innych, gnębi je. Jeżeli człowiek nie może bez udręczeń chodzić w cudzych butach, to jak on musi cierpieć, żyjąc w cudzych formach, do niego niedopasowanych?

W społeczeństwach z nierównym rozlewem oświaty, zawsze jej głębie stanowią mniejszość, a mielizny — większość; ponieważ zaś ta większość zakłada tor biegowi życia ogółu, przeto mniejszość nietylko cierpi, ale cierpi beznadziejnie i od czasu do czasu wybucha krzykiem rozpaczliwym. Oto dlaczego najgłośniej ten krzyk brzmi dziś w literaturze Anglii, Francyi, Włoch— gdzie kultura błyszczy tylko na szczytach

społecznych, a najsłabiej w krajach skandynawskich, gdzie ona rozpostarła swe światła i po dolinach.

Wiedza nikomu szczęścia nie dała i dać nie może, bo pozostanie zawsze jasnym punktem w bezmiarze mroków. Jest to robaczek świętojański, lecący przez noc nieskonczoności. Szczęście mogą dać człowiekowi tylko warunki jego życia, do których przedewszystkiem należą inni ludzie z tego samego lub blizkiego szczebla kultury. Żaden, nawet najpomyślniejszy układ stosunków i okoliczności nie zdołałby zadowolić Europejczyka śród Botokudów i odwrotnie. A jeżeli w piśmiennictwie i sztuce jakiegoś narodu odzywają się ciągle mocne tony pesymizmu, to najczęstszą przyczyną tego objawu jest wielka różnorodność i niezgodność jego żywiołów.

„Nie wyobrażacie sobie — pisze w dalszym ciągu wspomniany korespondent, lekarz na prowincyi — jak mnie tu, otoczonego ciemnym, prawie zdziczałym ludem, rozśmieszają radosne uniesienia nad kilkoma wielkimi talentami, które zabłysły w naszej literaturze. One mają nam dać wartość cywilizacyjną i siłę zwycięzką w walce o byt, a dają ryngraty, skrzydła husarskie i złote ostrogi. Olbrzymia masa ludzi śpi, pokryta ranami odleżyn i nietylko sama wycieńcza się głodem kultury, ale dla jej wybrańców stwarza niemożliwe warunki życia. Wtłaczać się codziennie w ciasne formy pierwotności, być igraszką lub pastwą nieokrzesanego prostactwa— doprawdy za gruntowną poprawę tego położenia możnaby ofiarować nawet kilku najznakomitszych powieściopisarzów. Gdybyśmy my, którzy się do tego barbarzyństwa dotykamy i od niego cierpimy, zaczęli wylewać swe uczucia w poezyach, przewyższylibyśmy pesymizmem najszaleńszych dekadentów. Tam w Warszawie witają tylko salwami każdy nowonarodzony talent; kiedyż zaczną strzelać dla ogłoszenia światu radosnej nowiny, że stu półdzikich chłopów nauczyło się czytać! Otoczenie nasze tak nam odbiera wszelką przyjemność życia, że żyjemy tylko z nałogu...“

Poseł Prawdy.



BADANIA NAUKOWE.

Zapomniana książeczka.

X. A. M. Podgórski: *Dwa szczególniejsze znamiona budownictwa w Rzeszowskiem.* Rzeszów 1857.

Współczesne pokolenie, rozpoczynając przerwaną gwałtownie twórczą pracę wewnętrzną nanowo, ma często złudzenie, że od niego dopiero wiele robót ogólnych bierze swój początek.

Tymczasem niema pola, któreby pokolenie polskie lat pięćdziesiątych pozostawiło zupełnie odłogiem, wszędzie lemiesz jego pracy wewnętrznej, społecznej wzruszył rolę, na której kultura rodzima wyrosła; wszędzie rzucano te same ziarna, których my, współcześni pierwszymi zdawaliśmy się być siewcami.

Może odpowiednio do wieku ówczesnego rozmiar tej pracy odradzającej był mniej na obszar rozległy, skromniejszy w swej formie, mimo to jednak zawsze ważny i dla żywotności społeczeństwa znamienny.

Tak zdawało się nam, że Witkiewicz, Matlakowski i ci wszyscy rówieśni w czasie pracownicy na niwie badań sztuki ludowej to są pierwsze głoski, od których się zaczyna nowy polski wyraz miłośnictwa kultury artystycznej, rodzimej. Jakież było zdziwienie Witkiewicza, które wypowiedział w swym „Dziwnym człowieku,“ kiedy odkrył, dzięki artykułowi p. Melczarta, że Cyprian Norwid na kilkadziesiąt lat przed nim zakreślił w prześlicznym poemacie cel i zadanie odrodzenia sztuki polskiej z ludu, jako „całkowitej cyrkulacyi“ idei piękna, od talerza do kubka, od ołtarza do tak zwanej sztuki wielkiej.

Takim samotnym wprawdzie poprzednikiem tych, którzy z badań nad sztuką i budownictwem ludowem usiłowali wysnuć dzieje kultury narodowej, był skromny x. pleban w Tarnowcu pod Leżajskiem X. Antoni Marya Podgórski.

Mam w rękach książeczkę, użyczoną mi z księgozbioru p. Bolesława Wysloucha, redaktora *Kur. Lwowskiego.*

Książeczka ta w błękitny papier oprawna, tem jest w tym egzemplarzu, o którym piszę cenniejsza, że mieści na sobie kilka wyrazów własnoręcznie przez autora skreślonych, a ofiarowujących dziełko „Pani Hrabinie Reyowej, właścicielce Raniżowa.“

Na 22 stronach małej ósemki odbija się dusza obywatelska autora, wolna od przesądów, a miłująca gorąco społeczeństwo, do którego należy i to w objawach kulturalnych tej warstwy, która w owych czasach dopiero ósmy rok cieszyła się uwolnieniem z pańszczyzny w Galicyi. O tej książce znamiennej, a raczej o jej dziwnym autorze chciałem kilka słów napisać.

Jako motto służy jej czterowiersz Jadwigi Łuszczewskiej:

Kto myślą wyżej zostaje,
Niechaj okiem budownika
Obejmie ziemię, jej kraje
I w dzieje jej gmachów wnika.

Potem jest krótka dedykacya „Janowi i Małgorzacie Bejgertom w dowód przyjaźni,“ a za nią wstęp czyli stanowisko autora. We wstępie usiłuje on usprawiedliwić się wobec czytelnika ówczesnego, a działo się to w r. 1856, dlaczego zajmuje się chłopskiem budownictwem i pragnie na nie zwrócić uwagę społeczeństwa, a czyni to bardzo mądrze:

„Czemu ty bławatku (sztuka ludu) nie masz tej krasy, co róża? (sztuka wielka). A ty miesiączku tej woni, co fiołek? Przecież jedna ziemia was rodzi, jedną i tę samą rosę pijecie, do słonka zarówno zerkacie? Oto wielka niedorzeczność! *Bo by nie było piękności, gdyby nie było rozmaitości, gdyby wszystko kwitnące było różą, ani woni, gdyby wszystko miało zapach fiołka. Niechaj tam będzie i wiejski bławatek* i ponętna róża i wspaniały oleander, byle tylko *każdy* starał się wedle swej możności być, jak najdoskonalszym.“ Tak obroniwszy doskonale prawo kultury ludowej do życia i do słońca, usprawiedliwia się, że w dziełku „zaprawy książkowej nie znajdziesz.“ Nie iżby gardził, ale i środki nie potemu. Zresztą czytelniku wiedz, *że objawy rzeczywistego życia tyle przynajmniej uczą, co książki, jeżeli nie więcej.* Dla tych zaś naszych inteligentów na prowincyi, którym „ciasno i duszno“ w atmosferze prowincyonalnej, pouczającym jest dalszy ustęp, z którego wynika, że człowiek obdarzony dobrą wolą wszędzie znajdzie sobie pole do pracy twórczej.

„Ojczyzny mojej, tak jak zupełnie nie znam. Siedziałem i siedzę doma, *lecz się po moim kąciku* rozpatruję, *rozważam, porównywam, odnoszę, łączę, oceniam i tym* sposobem, jak to mówią, uczę się filozofii za piecem.

...Nie twierdzę, nie wyrokuję tylko przypuszczam... Wziąłem się zaś do dzieła, abym w braku powołanych pracowników (budowniczych) świadczył o przeszłości, zstępującej w oczach naszych do grobu, *abym nie próżnował*, a tak choć w cząstce spłacił dług winny ojczyźnie i Bogu.

Takim wstępem opatrzył swoje dziełko X. Antoni Marya Podgórski, pleban w Tarnowcu pod Leżajskiem.

A teraz rzecz sama.

Nad każdym z ustępów widnieje nagłówek.

Nagłówek pierwszy to „ważność i interesowność rozprawki o budownictwie.“

Wszak „mieszkanie Słowianina, to suknia jego, to, rzekłbym, skóra jego. Mieszkanie należycie wyświecone wyjaśni usposobienie, rozwój i stopień wykształcenia Słowianina, jego obyczaje, pochodzenie, ba, nawet jego dzieje. Mieszkanie Słowianina, to on sam. Jakie to wdzięczne studyum.

Nie zrażajmy się niepokaźnością budowli naszych.

Chałupka najlichsza może mieć wartość nieoszacowaną jedynego egzemplarza. Nasze budownictwo wprawdzie niepokaźne, ale miało swoje życie, ma swoje dzieci.

O zajmijcież się nauką budownictwa narodowego, drodzy rodacy, co macie zdolności i łatwość po temu. *Jeżeli zaniedbacie tę* uprawę, *uronicie jedną stronę waszej indywidualności* i o was kiedyś będą mówić: Istnieli wprawdzie Słowianie, ale nie byli tylko czcze słowie. Niestety te gorące i słuszne słowa zostały bez należytego odźwięku prawie aż do lat ostatnich, a „rodacy“ budowniczowie, którzy mają „zdolność i łatwość po temu,“ zabawiają się dalej budownictwem obcych nam narodów (głównie Niemców), roniąc jedną stronę po drugiej z „indywidualności polskiej, budowniczej.

W ustępie o „ogólnej przesłance“ rozpatruje X. Podgórski nazwy budowli naszych, a zwłaszcza znaczenie słów: budownictwo, buda, kucza i chałupa, dom i dwór, a kończy ciekawą na owe czasy uwagą, że „uczącem by było do tych powyższych wyrażeń odpowiednie greckie i sanskryckie wynaleźć i przestudyować.

Dalsza cząstka rozprawki poświęcona jest „budownictwu drzewnemu,“ jako wyłącznemu w Polsce,“ tak że mur za tworzywo uważa X. Podgórski już jako napływowy, niemiecki, a zwłaszcza włoski żywioł budowniczy.

„Słowianie taki zmysł mieli do drzewnego budownictwa, że jestem pewien, żeby Słowianina dziś przeniósł aż do skalistej Arabii i tamby chwytał za drzewo z pominięciem trwalszego budulca.“

„Drzewo jest zdrowsze i klimatowi odpowiedniejsze, mury chłodzą, a więc przysługują strefie gorącej.“

Dalej pisze ks. autor o kształtach klasycznych w budownictwie drzewnem i odpowiada potakująco na sprawę, czy mogły się wytworzyć w dziedzinie drzewnego budownictwa kształty wzorowe (klasyczne), i style odrębne.

„Na to odpowiadam: *niewątpliwie.* Drzewo jest budulcem obrobliwym, tak dobrym jak inne.

A ponieważ miejscowe czynniki przyjazne składały się na wytworzeniu kształtów wzorowych, przeto, jako budulec, staje się wątkiem stylów, a „budownictwo greckie pierwej na drzewie do klasyczności doszło nim na kamień przeniesione zostało.“

Czy możliwe wzory narodowe?

Tak. „Plemię nasze co do zdolności umysłowych nie ustępuje żadnemu. Zajmuje się ono budowaniem i to jedynie drzewnem od tylu wieków. O biegłości budowników świadczą bożnice (kontyny), nad którymi z pochwałą się rozwodzą starożytni pisarze.

...Wszystkie wyrazy z zakresu budowli nie są zapożyczone, lecz czysto polskie i starodawne.

We wzorach polskich widzi autor logiczność przeprowadzoną ściśle we wszystkich częściach, piętno wybitne klimatu, życia towarzyskiego i społecznego.

Niestety, znikają one pod ciosami czasu i okoliczności. *Moje opisy będą mały wkrót-*

ce *wartość pomnika historycznego.* Otóż X. Podgórski zbliża się do opisania dwu typów budownictwa, które istnieje na pograniczu rusińsko-polskiem, w Rzeszowskiem i Przeworskiem. Od wschodu idzie typ namiotowy, od zachodu okopowy.

Namiotowym typem nazywa on to budownictwo na słup, powszechne na Rusi galicyjskiej, okopowem — budowle wiązane na zamek, polskie.

Uwagi co do obu tych typów są bystre i bardzo ciekawe a wnioski słuszne, choć „oczy dalej wstecz na wschód, jak po Lwów nie widziały.“ Przy opisie chałupy polskiej, którą od wsi Raniżowa nazywa tak po prostu „stylem raniżowskim,“ jak się nazywa współczesny kierunek „stylem zakopiańskim,“ zestawia autor to polskie budownictwo z budownictwem greckiem, wykazując wiele podobieństwa obopólnego.

Szczególnie służą mu do tego porównania domy podcieniowe ze „słupo-rzędami,“ nadsłupiem, podsiebitką itd.

Wogóle autor słusznie zestawia „domy rynkowe“ radnie (ratusze), kościoły i dwory drewniane w jedną całość rodzimych budowli.

Opisuje dawno nieistniejącą radnię w Sokołowie, okazały gmach drewniany, mający z trzech stron podcienia, słotnemu węglowi nadstawiający gładką ścianę. W czele i w tyle były wjazdy na przestrzał. Dach był przedzielony gustownym gzymsem.

„Dwór staroszlachecki z gankiem to nic innego tylko chałupa Raniżowska“ uzupełniona z obu stron bokówkami (alkierzykami). Ostatnie rozdziały dają szereg wywodów za rodzimością i starożytnością obydwóch rzeszowskich wzorów i omawiają zalety i wady budownicze obu sposobów budowania.

Następuje konkluzya.

„Dałyby się opisane kształty wyrobić na klasyczne, podnieść do doskonałości? Jużcić. Są organiczne, celowi odpowiednie, dopuszczają zastosowania i modyfikacye. *Że przenieść się dadzą na cegłę i kamień, aż zbyteczno mówić. Genialny architekt wywoła tu do życia kształty całkiem niewidziane i nieużywane.*“

W ostatnim ustępie omawia autor dawne istnienie szkoły budowniczej, polskiej, którą nazywa naczelnictwem budowniczem. Jednoszczepowość i tradycya były wspólnymi naczelnikami.

I potem wszystkiem „pożegnanie od autora.“ Celem tej książeczki jest „to co *senne sprawowane oczyścić, podnieść, rozwinąć, spotęgować, uwiecznić.* Idzie tu o *uwiecznienie własnej istności. Dźwigamy piśmiennictwo, muzykę, malarstwo, dźwigajmy i budownictwo.* „Coby to był w większych miastach, nie rzekąc o wygodzie, za wspaniały widok, słupo rzędowe, według prawideł doskonałej *sztuki, wokół rynku wykonane podsienia...*, zaludnione przechadzającymi się i gwarzącym eleganckim światem.“

„Powinniśmy młodzież po szkołach uczyć budownictwa *w kroju i stroju narodowym*, którym nie wstydzić się, ale szczycić się nam by wypadło.“ *„Uważam niniejszą rozprawkę nie jako pomnik na zabalsamowanie przeznaczony,* lecz jako zarzewie po wielkim stosie pozostałe, dziś wprawdzie popiołem przysute, *ale na nowo w płomień wybuchnąć mające.*“

Oto taka jest treść książeczki, z której po latach 48 piszę niniejszy artykuł sprawozdawczy.

Niema myśli, dziś głośniejszej i żywszej, którejby ta dziwna książeczka nie wypowiedziała, cały program odrodzenia sztuki postawiony tak jasno i wyraźnie, że niczego ująć i niczego dodać nie można.

I to wszystko na tle badań, co do których jakże samotnym był wówczas autor pracownikiem.

Dziś kiedy „zarzewie popiołem przysute“ płomykiem odrodzenia jaśnieć poczyna, niechże w pamięci współczesnych pracowników nad sztuką z ludu poczętą odżyje pamięć pierwszego a tak samotnego poprzednika.

Po tylu latach, jego książeczka stała się żywą we współczesnem pokoleniu.

Cześć pamięci X. Antoniego Maryi Podgórskiego.

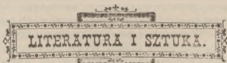
Kazimierz Mokłowski.

NOTATKI NAUKOWE

— Charles Gide: *Les societes cooperatives de consommation.* Paris, 1904. Collin.

Znany krzewiciel zasady kooperatywizmu poucza nas w formie nader zwięzłej i jasnej, czem jest towarzystwo spółdzielcze, jak ono jest zorganizowane, jakim odpowiada potrzebom, do jakiego zmierza celu, jakie posiada dotychczas braki i z jakiemi trudnościami musi walczyć. Celem kooperatywy jest żyć lepiej i oszczędniej, nie jest to jednak cel jedyny, ani najważniejszy. Jest to coś więcej, niż instytucya hygieny społecznej, coś lepszego, niż przedsiewzięcie dochodowe. Kooperatywa spełnia doskonale zadanie oszczędności, ale po zatem posiadać winna cele natury bezinteresownej: rozwinięcie solidarności i jej praktyczne zastosowanie w różnych okolicznościach, wzajemne kształcenie się oraz przyuczanie do działalności zbiorowej przy obopólnem porozumieniu się. Kooperatywy napotykają trudności już to ze strony prawnej (jak np. we Francyi, w sprawie sprzedaży lekarstw), już to natury technicznej (jak np. rzeźnie). Bądź co bądź jednak nie można wyznaczać granic dla formy kooperatyw, zastosować się ona da do wszelkich potrzeb zarówno materyalnych, jak umysłowych i moralnych.

Określiwszy w taki sposób cele i zadania kooperacyi, autor daje krótki rys historyczny ruchu oraz zaznajamia z danemi statystycznemi, a wreszcie określa bliżej cechy prawne i ekonomiczne kooperatywy spożywczej i charakteryzuje różne związki kooperatywne.



Maurycy Jokai.

([illegible])

Maurycy Jokai... Ileż to obrazów barwnych, ile scen, pełnych życia, gwaru, humoru, to znów wstrząsającej grozy i tragizmu, nasuwa nam samo imię wielkiego patryoty i pisarza! Mimowoli przenoszę się myślą do skromnej „stancyi“ uczniowskiej. Widzę w blasku wspomnień odległych migotliwy płomyk świecy na stole i oczy rozognione, przebiegające z gorączkowym pośpiechem dzieje tych, co „z posad poruszali ziemię“ lub „aż do śmierci“ służyli idei i w jej obronie umierali...

Niby w latarni czarnoksięskiej zmieniają się obrazy i kształty. Oto tajemnicza piwnica skromnej, debreczyńskiej gospody, a w niej garstka zapaleńców, zbierających się tu co niedziela, by pisać „cytwarską kronikę.“ Ze studentów tych właśnie powstać ma niespokojne pokolenie, które ośmieli się twierdzić, że głęboki sen Węgier jest wielce pokrewnym śmierci i poweźmie myśl zuchwałą, by kraj swój ze snu tego rozbudzić. To znów roztoczy się przed oczyma równina bezmierna, nieskończona, z szalejącą zamiecią śnieżną; błysną, jak ogniki śmierci, krwiożercze ślepia zgłodniałych wilków, rozegra się walka straszliwa. To Oedön Baradlay, najstarszy z synów „człowieka o kamiennem sercu,“ cudem niemal ocala swą głowę, by na wezwanie matki wrócić do kraju i razem z bratem Ryszardem stanąć w szeregu obrońców ojczyzny w pamiętnej walce roku 1848; działacz i patryota, za którego słaby i nerwowy Eugeniusz nie zawaha się ponieść męczeńskiej śmierci.

A oto stary huzar przynosi pani Stefanowej Tiszy skrwawiony dolman „panicza“; kula niemiecka przebiła w nim otwór nieznaczny, ale dość wielki na to, by przezeń uleciało bezpowrotnie życie ubóstwianego syna, którego zresztą za lat parę, na czele dzielnych kuruczów, pomści krwawo nieustraszony Ocskay... *Pro libertate!* Lub wreszcie, gdy się czasy zmieniły, przychodzą bohaterowie inni, co czeluściom ziemi wydzierać będą „dyamenty czarne“ i upominać się o krzywdy tych, którzy na swych barkach dźwigają „wszystkie ciężary teraźniejszości i przyszłości.“ Bo w jednym szeregu ze swymi Baradlayami i Ocskayami, nieśmiertelnymi rycerzami swobody, nie zawahał się Jokai umieścić Kolomanów Jenoi i Berendów, rozumiejąc, że narodowi swemu i ludzkości równie dobrze służyć można krwią i orężem, jak natchnioną pieśnią lub pracą, ku dobru ogólnemu skierowaną. Więc w gorącej apostrofie Iwona, nowoczesnego już dosyć bohatera „Czarnych dyamentów,“ rzuci zapytanie śmiałe: „Ten, co wyratował skarb niezmierny, skarb, stanowiący własność tysiąców, całego kraju, przemysłu, ludzkości całej; co zwyciężył żywioł, grożący całej okolicy zatratą; co tysiącom ludzi, skazanym na kij żebraczy, powrócił kawałek chleba, osuszył łzy wdów i sierot — nie zasługujeż na ubóstwienie, nie stajeż się w oczach ludzi półbogiem?“

Przez lat sześćdziesiąt pracował Jokai dla narodu swego, pracował wyłącznie prawie piórem, które jednak w chwilach ciężkich umiał zamienić na szablę. W trzystu tomach z górą zawarł się bogaty plon jego niestrudzonej działalności, a lwią część tego wspaniałego dorobku stanowią powieści i romanse, odtwarzające różne strony życia narodowego, od bojów z Turkami na Węgrzech i „złotych czasów Siedmiogrodu,“ aż do kierunków i prądów współczesnych. Walka o wolność w r. 1848, której uczestnikiem gorącym był sam powieściopisarz, wywarła wpływ duży na rozwój jego talentu. Na tle tej właśnie ważnej dla Węgier chwili dziejowej powstały najlepsze jego utwory, jak np., oprócz wspomnianych już wyżej, „Mieniące się barwy,“ „Smutne dni,“ „Inne czasy, inni ludzie,“ „Przez wszystkie piekła“ i t. d.

Bogata fantazya Jokaia, niewyczerpana pomysłowość pisarska, wzorowana między innymi na starym Dumasie, powoływały do życia coraz to nowe obrazy, coraz niepospolitsze położenia i starcia, coraz to nowe postaci. Góry i morza, wielkie miasta i stepy, bystre strumienie i rozlewne rzeki, wspaniałe uczty i krwawe boje — wszystko to mieściło się jak najlepiej na jego wielobarwnej palecie. Wszystkie warstwy narodu madziarskiego, wszystkie ludy, zamieszkujące Węgry, znalazły w utworach jego odbicie.

O drobiazgową psychologię bohaterów swoich nie troszczył się autor, nie zawsze się liczył z warunkami rzeczywistości, uciekając się nieraz do środków nadzwyczajnych w celu wyprowadzenia tej lub innej postaci swojej z grożącego im niebezpieczeństwa. Co jednak stanowi rys dodatni i wysoce pociągający większości jego bohaterów — to idealizm szlachetny, kierujący wzrok ich stale ku promiennym gwiazdom dążeń wyższych. Mocą twórczą swej wyobraźni wywiódł on z pierwiastków życia narodowego długi szereg wcie-

leń artystycznych, należących do wielkiej, prometeicznej rodziny tych duchów pięknych, które, dzieckiem w kolebce łeb urwawszy hydrze, w młodości duszą centaury... Bohaterowie Jokaia to także nieraz pewnego rodzaju „nadludzie,“ ale główny cel ich dążeń leży zawsze na zewnątrz: widzą go oni najczęściej w szczęściu ogółu i ukochanej nad wszystko ojczyzny.

Miłość płciowa występuje wprawdzie w powieściach Jokaia, ale nie gra w nich roli najważniejszej i podporządkować się umie celom szlachetniejszym. I kobiece zresztą postaci autora „Czarnych dyamentów“ nacechowane są tym samym idealizmem podniosłym i umieją, na równi ze swoimi kochankami, mężami i braćmi, przejmować się głęboko troskami natury ogólnej, niepodobne pod tym względem wcale do niektórych głośnych u nas bohaterek powieściowych, tak ogromnie naszych i — niestety — tak strasznie jednostronnych i płytkich...

„Poeta kochał i naród i ziemię swoją — mówi ładnie p. A. W. Ł. w *Wędrowcu*, który, jak dotąd, umieścił u nas jedyną godną uwagi sylwetkę znakomitego pisarza — potęga jego talentu na tem polega, że umiał on duszę tego narodu wymalować tak promieniście, tak roztęczować ją w najcudniejszych barwach, takie tony szlachetne i bohaterskie z niej wydobyć, że jeśli w Europie kochano Węgrów, to może głównie dlatego, żeśmy na nich patrzyli — przez pryzmat romansów Jokaia ..“

Wł. Bukowiński.

Antysemityzm w teatrze francuskim.

(Dokończenie).

W akcie tym zasługuje jeszcze na zaznaczenie doskonała scena pomiędzy księdzem i rabinem. Ten ostatni przychodzi do Dumonta z prośbą o sprostowanie wiadomości, zamieszczonej w jego organie, jakoby on należał do wolnomularzy. Pierwsze zetknięcie dwóch pasterzy dusz jest chłodne i szorstkie, ale wkrótce tożsamość zawodu sprowadza porozumienie. Obaj stwierdzają, że zarówno prześladowania zakonów, jak i Żydów sprowadzają dla prześladowanych rezultat pomyślny, kościoły i synagogi opustoszałe zaczynają się zapełniać, a ofiarność znacznie wzrasta. Na pożegnanie zamieniają uścisk ręki przyjacielski, czują bowiem, że tylko pozornie dzieli ich przepaść.

Syn państwa Dumont, Franciszek, jest artystą malarzem i przebywa dla studyów w Rzymie. Przejęty do głębi czcią dla sztuki i miłością natury, za cel życia swego postawił dążenie do prawdy. Obawia się jednak trochę o niego ksiądz Cypryan, przyjaciel rodziny; pamięta on, że miał z malcem niegdyś niemało trudu, bo wiecznie przy naucе katechizmu miał ochotę dyskutować i w żaden sposób nie mógł spamiętać tego, czego nie rozumiał. Przybywa on do domu rodzicielskiego nieświadom całkiem roli politycznej, jaką odgrywa jego ojciec i natychmiast po przywitaniu objawia, że pokochał Żydówkę, Rachelę Philippsohn i pragnie ją poślubić. Wiadomość ta, naturalnie, jest gromem dla rodziców, ojciec oświadcza, że na związek podobny nigdy zezwolenia dać nie może, choćby tylko z tego względu, że byłby przedmiotem szyderstw zarówno w Izbie, jak i na zebraniach publicznych. Ale ksiądz Cypryan wynajduje środek wyjścia z kłopotliwej sytuacyi — przejście Racheli na katolicyzm. Franciszek jednak na to odpowiada stanowczo, że ani ona, ani on zmieniać religii nie potrzebują, bo ślub ich będzie wyłącznie cywilny. „Błogosławieństwo duchowne nie przyczyni ani uroku, ani szczerości naszemu związkowi, nie chcę otaczać go pompatycznym ceremoniałem, który w moich oczach pozbawiony jest wszelkiego znaczenia — i robić zeń publicznego przedstawienia, nieprzyzwoitego i niedorzecznego;“ W Rzymie, gdzie widział tłumy kornie schylone w modlitwie w kościele św. Piotra, doszedł do przekonania, że tylko ciemnota i wynikająca z niej obawa utrzymują je pod władzą Kościoła, który im wzamian za ofiarę uczuć daje tylko obietnicę... raju po śmierci. Przyjrzał się tam zblizka, jak przepych pałaców kardynalskich sąsiaduje z nędzą zrezygnowanych plebejuszów. „Widziałem, w jakim stanie poniżenia, przygnębienia i ciemnoty utrzymuje katolicyzm swych wiernych. Ta cała armia ciemnych i nieszczęśliwych stanowi siłę i podporę Kościoła. Gdy możliwość szczęścia przeniknie mózgi, gdy nauka oświetli sumienia — religia upadnie i ludzie poznają, czem jest życie!“

I oto pierwszy rozdźwięk pomiędzy rodzicami i synem. Wkrótce jednak następuje inny, gdy Franciszek zapoznaje się z rolą ojca w kampanii antisemickiej, gdy odczytuje artykuły i manifesty, nawołujące do bratobójczej walki, gdy poznaje całą próżnię retoryki i całą brzydotę moralną otoczenia, w jakiem ojciec jego przebywa — wówczas rzuca mu słowa pełne goryczy, wzgardy i opuszcza dom rodzicielski. „Ojcze ja z tymi ludźmi nic chcę mieć nic wspólnego i chleba z nimi łamać nie będę — rodzina moja nie tutaj.

Akt II odtwarza zebranie publiczne urządzone staraniem Ligi antisemickiej. — Młody agitator, sekretarz Dumont'a, przygotowuje zawczasu klakę płatną, której zadaniem będzie każdego przeciwnika wyrzucić za drzwi. Ale staje się rzecz przez niego nieprzewidziana: jako przeciwnik antisemityzmu występuje Franciszek, z którym nie wypada postąpić wedle powziętego planu, zabiera on głos i w mowie pełnej zapału zbija zarzuty stawiane Żydom, wykazuje cały szereg krzywd, jakich oni doznawali w ciągu wieków i wyjaśnia źródła oraz głębsze przyczyny społeczne owej sztucznie rozdmuchiwanej nienawiści rasowej. Wreszcie z pomiędzy tłumu wysuwa się wynędzniała postać Żyda, który prosi o głos i z głębokiem wzruszeniem opowiada o prześladowaniach, jakich sam był naocznym świadkiem i ofiarą.

Antisemici jednak nie dają za wygrane i ponownie rozpoczynają swe bezpodstawne, potworne insynuacye względem Żydów, zebranie przeto kończy się bójką, w której mieszają się krzyki: „Precz z Żydami“ z jednej strony i „Precz z nienawiścią“ z drugiej.

Akt III wprowadza nas w dom starego Philippsohna, ojca Racheli. Jest to człowiek uczciwy, silnie przywiązany do swej religii, rasy i tradycyj, odczuwający nader głęboko cierpienia Żydów i widzący jedynie dla nich ocalenie w syonizmie, w odbudowaniu własnej ojczyzny. „Nie przeszkodzi to im przyczyniać się do zwycięztwa idei sprawiedliwości i pokoju... Oni ofiary nienawiści będą mogli dać światu wielki przykład braterstwa i miłości...“

Syn jego Mojżesz, przyjaciel Franciszka, również artysta, przebywający na studyach w Rzymie. — jest to typ nowoczesny, to też wiedzie on z ojcem żywe spory, inaczej pojmując zapewnienie Żydom szczęścia: „Nie Jerozolimę należy nam wskrzeszać, ale budować nową osadę, taką gdzieby nie były ani bogów, ani katów, gdzie uczeni i myśliciele rządzić będą, a ci którzy tam zamieszkają nie będą wiedzieć o rasie swych przodków, zachowując z przeszłości jedynie wspomnienie wielkich czynów, które przyśpieszyły narodziny nowego społeczeństwa. Czcić będą bohaterów, nie pytając ich o rasę, religię, ojczyznę!

Racheli, podobnie jak Franciszkowi, odmawia ojciec swego pozwolenia na związek z chrześcijaninem, stary Philoppsohn oburza się na samą myśl, że małżeństwo córki jego z synem przywódcy antisemitów wywołałoby szyderstwa, a on nie zniósłby już szyderstwa z Izraela! Młodzi ludzie jednak zdecydowani są nie uledz władzy rodzicielskiej i, zrywając więzy wiary i tradycyi, pójdą w życie ręka w rękę, ufni że zaświta kiedyś lepsza przyszłość, że ludzkość otrząśnie się ze starych złudzeń i pójdzie nowemi drogami, byleby je jej wskazać...

„A gdy w blaskach waszego promiennego szczęścia i harmonii przyjdzie na świat syn, powiedzcie mi, pyta Mojżesz, czy będzie on żydem, czy chrześcianinem?“ Na to młoda para odpowiada: „Ani jednym, ani drugim, — będzie człowiekiem!“

Iza Zielińska.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Mieczysław Hertz: *Ananke*, baśń dramatyczna w sześciu obrazach, odznaczona zaszczytnie na konkursie lódzkim imienia Henryka Sienkiewicza.

„Cóżem ja dziś? Za znoje bez przerw szaleniec, równie mądry, jak i pierw. I cóż my wiemy?.. Nic... Nic... o katusze! Myśl ta spali moją duszę....“ Te słowa słynnego monologu Fausta brzmiały może napół świadomie w duszy p. Mieczysława Hertza, gdy kreślił pierwszy obraz swej baśni dramatycznej, gdzie na wstępie bohater utworu Filandros skarży się, że „rozbitek raz, to znowu żeglarz śmiały, istnienia cud napróżno chciałby poznać,“ i błaga Zeusa w modlitwie gorącej o wyjawienie, „jakim jest cel i życia praprzyczyna“. (Może lepiej: „Jakim jest życia cel i praprzyczyna?“). Lecz operetkowy trochę Zeus, występujący z piorunami swymi na każde zawołanie Filandrosa, cudownych bytu *tajn* odkryć mu nie może, bo sam — „nic o tem nie wie,“ będąc tylko narzędziem innej potężniejszej mocy — *Ananke*, rządzącej nawet bogami. Więc Faust czy Prometeusz nowy rezygnuje odrazu z dociekania przepastnych tajemnic istnienia i pragnie już tylko naprawić błąd, popełniony niegdyś przez Zeusa, który, unicestwiwszy stworzone początkowo pokolenie półbogów i bohaterów, z błota ulepił bałwana i, tchnąwszy wen myśl, uczynił w taki sposób człowieka. To właśnie biedne plemię ludzkie Filandros chce zwrócić na drogę nieokreślonej bliżej „cnoty“ i obiecuje „ukazać mu do szczęścia prostą ścieżkę,“ a Zeus, chociaż zwątpił już *w poprawę* jego współbraci, nie zamierza stawiać mu przeszkód, owszem — obdarza go nawet rodzajem nieśmiertelności, której warunkiem głównym jest wytrwanie w zamiarach szczytnych i bezgranicznej wierze w możliwość udoskonalenia ludzkości. „Gdy padnie cień niechęci na twe serce, gdy zwątpi duch, złamany przeciwnością, nastąpi śmierć w katuszach srogich.“ Filandros zginie, a z ducha jego powstanie ród szaleńców, którzy ludzkość, jak ongi on, poprawiać będą chcieli.

Mamy tu więc znowu coś nakształt umowy Fausta z Mefistofelesem; tylko że Faust - Filandros p. M. Hertza nie odziedziczył, niestety, żadnej z zalet ideowych i artystycznych pierwowzoru swojego i przeważnie nuży tylko widza potokami słów pustych, z któremi nie idą w parze czyny, a najbardziej wymagającą krytykę rozbraja poprostu bezgraniczną, dziecinną niemal naiwnością. Bo jak tu traktować poważnie bohatera tragedyi, który, zdobywszy koronę w szczęśliwej walce z zagrażającym miastu smokiem, wiąże się

z dwojgiem istot wyjątkowo złych i zwyrodniałych i na nich właśnie dokonywa szeregu doświadczeń bolesnych, doprowadzających go wreszcie do zwątpienia i śmierci? Sam pomysł, najogólniej biorąc, dobry może, ale co za wykonanie! Pierwszym czynem króla Filandrosa jest przebaczenie parze zbrodniarzów, skazanych na śmierć przez sąd starców. Nie stosuje on jednak względem nich pełnych prostoty, a zarazem tak wzniosłych słów: „Idź i nie grzesz więcej,“ lecz pragnąc niejako przelicytować tego, który je wypowiedział pierwszy, w celu przeprowadzenia poprawy zupełnej, urodzoną wszetecznicę Lagne, ku słusznemu oburzeniu kapłanów i ludu, bierze sobie za żonę, a zwyrodniałego rzeźnika Kakistosa mianuje swym giermkiem najbliższym, nie zapytawszy ich zresztą nawet, czy życzą sobie takiej niezwykłej i nagłej zmiany losu.

Nastąpiło, co nastąpić musiało. Nieumotywowany niczem krok Filandrosa nie zabił złych instynktów w duszach Kakistosa i Lagny. Spragnieni bezgranicznej swobody i rozkiełznania, jawnie niemal zdradzają swego dobroczyńcę i rzucają się sobie w objęcia, lecz Filandros — przebacza; buntują lud i przygotowywują zamach na życie króla — on znowu przebacza; mordują mu ukochanego syna — on jeszcze bez wahania niemal przebacza, nie usuwając nawet sympatycznej pary z przed swego oblicza. Zbrodnia piętrzy się na zbrodni, bo autor głównym postaciom utworu nadał wybitnie melodramatyczne rysy anielskości i szatanstwa, aż w końcu bohater doprowadzony został do katastrofy tragicznej, która w danym razie niczego nie dowodzi, nie jest bowiem koniecznością, lecz przypadkiem, wywołanym czynnikami nadzwyczajnymi i wyjątkową zbrodniczością Lagny i Kakistosa.

Obok głównej akcyi toczy się w tym utworze, a przynajmniej zarysowuje inna: dążenie Filandrosa do zniesienia niewolnictwa i zaprowadzenia równości zupełnej, ale o starciach króla-reformatora z konserwatywnym ludem i kapłanami, co samo przez się mogłoby utwór wypełnić, dowiadujemy się przeważnie, równie jak i o innych ważnych zdarzeniach, wbrew elementarnym zasadom dramatu, z opowiadań osób trzecich: Filandros pozostaje do końca bohaterem papierowym. Że zaś cała ta „baśń dramatyczna“ ma język dosyć pospolity, niewolny od rażących niepoprawności, a wiersz nużąco jednostajny; że nieliczne ustępy silniejsze nie mogą zatrzeć komicznego wrażenia, którego doznajemy, słuchając takich np. zwrotów: „Lagne, gdzie twoje czoło?“ — lub za chwilę: „Lagne, gdzie twoje usta?“ — więc dziwnemi wydawać się muszą gorące pochwały, oddawane tu i owdzie słabiutkiej wogóle próbce młodzieńczej, świadczącej zresztą, gdy kto chce, zarówno o szlachetnych dążeniach, jak nawet o pewnym talencie autora. Byle tylko pąk tego talentu nie zwiądł przedwcześnie w dymie — niezasłużonych dziś jeszcze kadzideł.

Jakie ich źródło? Najczęściej, niestety, nie warto jeszcze doszukiwać się u nas pobudek i źródeł tak zwanych sądów estetycznych. Obok innych względów może istotnie gra tu rolę niejaką i reakcya przeciw kierunkowi dotychczasowemu w dramacie i komedyi, oraz poszukiwanie głębszej myśli w dziełach scenicznych. Stanowczo jednak zaprotestować należy przeciw wynoszeniu autora kosztem aktorów, którzy w tym utworze występują. Sztuka jest nużąca i słaba, więc powodzenia zdobyć sobie nie mogła, nie jest to jednak wina Leszczyńskiego, Rapackiego, Siemaszkowej, ani wogóle nikogo z artystów, bo ci stanowczo wydobyli z ról swoich więcej, niż z nich naprawdę wydobyć można, co jednak nie przeszkodziło niektórym mocarzom krytyki potraktować ich, jak pierwszych lepszych kabotynów i zwalić na ich barki odpowiedzialność za błędy i braki autora. Jest to zresztą znany dosyć środeczek, ale do najszlachetniejszych nie należy z pewnością.

Długie tyrady Filandrosa deklamował pięknie Śliwicki. Ladnowski był doskonałym kapłanem, a Żelazowski, na którego benefis wystawiono po raz pierwszy ten dramat, odtworzył z dużą prawdą zwyrodniałą postać Kakistosa.

Wł. B.

ODCZYTY.

Ignacy Chrzanowski: *Nastrój proroczy literatury polskiej XVI wieku.*

W sobotę ubiegłą z katedry prelegenckiej w sali muzeum przemysłu i rolnictwa zabrzmiały pełne jasnowidzenia i grozy ustępy „Kazań sejmowych.“ Wygłosił je (na rzecz osad rolnych) p. Ignacy Chrzanowski, którego odczyty cieszą się zawsze powodzeniem zasłużonem, gdyż autor, jeden z najsumienniejszych u nas badaczów literatury ojczystej, łączy w nich stale zajmującą treść z powabem formy i umiejętnością utrzymania do końca uwagi słuchaczów w napięciu, dając niejako w tych prelekcyach swoich wzór doskonałych wykładów popularno-uniwersyteckich.

Tym razem badania nad Skargą, którego „Kazania sejmowe“ p. Chrz. wydał świeżo („Bibl. dzieł chrześć.“) z rzadkim pietyzmem z pierwodruku i poprzedził przedmową, obejmującą 136 stron dużej szesnastki, dostarczyły mu wątku do pełnego treści odczytu o nastroju proroczym literatury polskiej w wieku XVI. W obszernym wstępie autor wyjaśnił gruntownie źródła tych strasznych wróżb kasandrowych, powtarzających się u wszystkich prawie pisarzów naszych w epoce, gdy Polska zdawała się stać na szczycie potęgi i wielkości. Obok tradycyi średniowiecza (astrologia i mistycyzm) oraz zmian społecznych i klęsk żywiołowych na przełomie wieków średnich i nowych, poważną rolę odegrał tu i humanizm ze swą znajomością Cycerona, przepowiadającego Rzymowi zgubę niechybną za złe obyczaje i upadek dawnej religii, a dalej — rozpowszechniona w dobie reformacyi znajomość Biblii, która uczy np., że „wszelkie królestwo, przeciw sobie rozdzielone, będzie spustoszone i dom na dom upadnie,“ co stosowano dosłownie do własnego kraju.

Uderzanie w tę złowrogą strunę stało się wówczas u wielu pisarzów pewnego rodzaju modą literacką. Nie modzie jednak ulegał najznakomitszy przedstawiciel tej literatury proroczej, złotousty kaznodzieja sejmowy, Skarga. Łączył on trzeźwość, logiczność i przenikliwość umysłu z wyborną znajomością stosunków, przejrzał nawskroś znikczemniałą duszę magnatów polskich i orli wzrok zapuszczał w przyszłość ponurą. A drugiem źródłem „proroctw“ jego było serce, kochające kraj miłością wielką i mocną i przez to właśnie pełną niepokoju o to, co będzie...

Groźby i przepowiednie Skargi pozostają w ścisłym związku z nastrojem ogółu i z całą literaturą XVI w., ale stanowią one najpotężniejszy wyraz tego dręczącego niepokoju o przyszłość, który ogarniał najszlachetniejszych i najrozumniejszych ludzi ówczesnych na widok wzrastającej anarchii. Bliższemu zapoznaniu słuchaczów z wybitniejszymi poprzednikami Skargi i z treścią najwymowniejszych „kazań sejmowych“ poświęcił p. Chrzanowski część drugą swego pięknego wykładu.

wb.

NOWE WYDAWNICTWA.

„Sztuka.“ Cienki zeszyt formatu dużej ćwiartki, zdobny w kilkanaście cynkotypij i jedną heliograwiurę, w skromnej, oliwkowej okładce z napisem „Sztuka“ — oto nowy, polski miesięcznik, sztukom pięknym poświęcony. Wydaje go i redaguje p. Antoni Potocki w Paryżu. W górnolotnej przedmowie, zakreślającej program bardzo szeroki, wydawca obiecuje służyć Sztuce niepodzielnie, dać w swem piśmie najgodniejsze jej odbicie, a za szczególniejszy swój przywilej uważa to, że będzie przynosił dary Sztuki Polskiej.

Na treść pierwszego zeszytu składają się: tłomaczenie napisanego przed laty szkicu o J. Whistlerze pióra J. K. Huysmans'a—ze zbiorku „Certains“— i utworu literackiego zmarłego niedawno malarza francuskiego, Pawła Gauguin, krótkie o ostatnim wspomnienie Wł. Ślewińskiego, gorąca ocena paryskiego Salonu „Niezależnych“ przez samego redaktora, wiersze A. Brzozowskiego i B. Adamowicza, oraz kroniki sztuki francuskiej, niemieckiej i pism polskich. Jak widzimy, z wskazanego przywileju tymczasem skorzystano w bardzo małym stopniu; jedynie pobieżna sylwetka o Ślewińskim z powodu jego obrazów na wystawie „Niezależnych“ reprezentuje dary naszej sztuki.

Oczywiście byłoby nieroztropnie sądzić o piśmie i jego kierunku na zasadzie jednego zeszytu, lecz z drugiej strony przypuszczać należy, iż numer inauguracyjny poniekąd odzwierciedla dążenia i charakter wydawnictwa. Otóż, w naszych czasach „Sztuka“ w drobnej tylko części odpowiada wymaganiom, jakie stawiamy polskiemu pismu artystycznemu. Przedmowa głosi: „kościół chcemy budować, nie kaplicę,“ ale czy Whistler, Gauguin i panegiryk na „Niezależnych“ nie tworzą raczej kapliczki, niż kościoła sztuki? W zasadzie nic nie mamy przeciwko tej kaplicy, lecz dla społeczeństwa estetycznie bardzo mało wykształconego, nieposiadającego jeszcze organu wyłącznie sztukom pięknym oddanego, najpierw potrzebny jest kościół naoścież otwarty, dostępny dla wszystkich łaknących piękna, chcących usłyszeć o nim jasne i szczere słowo. Poszczególnym świętym zaś dopiero później można kapliczki stawiać. W pierwszym zeszycie „Sztuka“ zwraca się prawie wyłącznie do ludzi ze sztuką już dawno obeznanych, a że podaje materyał nietyle z pierwszej ręki, co z drugiej, więc z celem swoim się rozmija. Jeśli już chodziło o zaznajomienie szerszego ogółu z twórczością Gauguin'a — według naszego mniemania tylko odrębnego i utalentowanego malarza-kolorysty, a nie pierwszorzędnego „artysty“ — to konieczną była rzeczowa i krytycznie traktowana charakterystyka jego talentu. Ani gorąco napisane wspomnienie Ślewińskiego, ani przytoczone orzeczenia niektórych francuskich krytyków nikogo przekonać nie zdołają, zwłaszcza wobec dotychczasowych reprodukcyj, niemogących naturalnie dać wyobrażenia o powabie kolorytu Gauguin'a a świadczących jeno o dziwacznej formie, dalekiej od doskonałości.

Jeszcze jedna nasuwa się uwaga charakteru technicznego, nieobojętna w piśmie artystycznem. Co ma znaczyć określenie „heliograwiura podług G. Guerarda“ przy dodanym znakomitym portrecie matki Whistler'a? Chyba tu mowa o heliograwiurze podług akwaforty Guerarda.

P. E.

SPRAWY EKONOMICZNE.

Konwencya włosko-francuska w sprawie ochronnego prawodawstwa robotniczego.

Przemysłowcy francuscy uskarżali się nieraz, że Francya wyprzedzając inne kraje na drodze ochronnego prawodawstwa robotniczego, utrudniła im

wytrzymanie konkurencyi, wyroby bowiem zagraniczne przy niższej płacy i dłuższym dniu roboczym z konieczności będą tańsze, niż wyroby francuskie. W odpowiedzi na to Méline zalecał, jako środek zaradczy podniesienie taryfy celnej i powoływał się w tej kwestyi na przykład Australii i Nowej Zelandyi, które, wprowadzając u siebie 8-godzinny dzień roboczy, *minimum* płacy, emerytury na starość itp. reformy społeczne, musiały jednocześnie podwyższyć taryfę celną dla ochrony przemysłu krajowego.

Czyż jednak tak jest w istocie, że naród, wyprzedzający inne w sprawie prawodawczej ochrony pracy, musi prowadzić brutalną walkę celną, stanowiącą tak dobrą broń dla wsteczników? Że tak nie jest tego dowodzi konwencya zawarta w d. 15 kwietnia pomiędzy Francyą a Włochami.

Konwencya ta została przygotowaną w Rzymie w styczniu r. b: dzięki staraniom A. Fontaine'a, dyrektorara pracy we francuskiem ministeryum handlu. Wszedł on w porozumienie z ministrami włoskimi Luzzati i Nava, i opracował tekst umowy, która niebawem pójdzie pod zatwierdzenie obu parlamentów francuskiego i włoskiego.

W akcie tym oba kraje czynią wzajemnie pewne zobowiązania, w obec tego jednak, że robotników francuskich, pracujących we Włoszech, mamy zaledwie 10,000, a robotników włoskich, zatrudnionych we Francyi, 200,000, nie ulega wątpliwości, że ilość korzyści, wynikających stąd dla Włochów, przewyższa o wiele korzyści Francuzów. I tak, za pomyślne dla Włoch musimy uważać następujące punkta konwencyi:

1) Robotnicy obu krajów będą mogli składać pieniądze i odbierać je z Kas oszczędności, zarówno francuskich jak włoskich bez względu na miejsce swego uprzedniego przebywania: porozumienie tego rodzaju istnieje już pomiędzy Francyą i Belgią.

2) Takież samo uproszczenie będzie zaprowadzone dla kas emerytalnych, istniejących we Francyi i Włoszech, opartych na składkach dobrowolnych.

3) Skoro tylko zatwierdzone zostanie prawo emerytury robotników, opartej na składkach obowiązkowych, korzystać z niej będą Francuzi we Włoszech i Włosi we Francyi na zasadach następujących: część powstała ze składek robotników należeć będzie do nich całkowicie, część powstała ze składek pracodawców w całości lub w części stosownie do umowy, wreszcie część powstała z zapomogi rządowej pozostanie własnością wyłącznie obywateli danego kraju.

4) Wynagrodzenia lub pensye, wypłacane stosownie do prawodawstwa obowiązującego w obu krajach, ofiarom wypadku przy pracy — będą należały do poszkodowanych robotników lub ich przedstawicieli nawet wtedy, gdy ci opuszczą dany kraj; dotychczas zaś robotnik włoski, wydalający się z Francyi mógł otrzymać conajwyżej trzyletnią pensyę, a przedstawiciele jego, mieszkający we Włoszech, nie mieli prawa o nic się upominać.

Jeśliby było ustanowione ubezpieczenie na wypadek braku pracy (assurance contre le chômage), robotnicy obu krajów będą z niego korzystali na prawach wzajemności.

6) Wreszcie Francya zobowiązuje się rozciągnąć u siebie pilny nadzór nad pracą dzieci włoskich.

Nawzajem otrzymuje ona od Włoch zobowiązanie, iż nie cofną się na drodze ochronnego prawodawstwa robotniczego.

Do początku XX wieku czyniły one jedynie nieznaczne ograniczenia w dotychczasowym stanie rzeczy. Praca nieletnich nie była ujęta w przepisy prawne, aż do do r. 1886, kiedy wzbroniono używania w przemyśle dzieci poniżej lat dziewięciu i zatrudniania dłużej, niż 8 godzin dzieci od 9 do 12 lat. Od chwili, gdy lewica doszła do władzy, prawodawstwo robotnicze zaczęło czynić postępy. Prawo z 1902 roku oznacza lat 12, jako wiek minimalny dla dzieci pracujących, zabrania im pracy nocnej, zaprowadza raz na tydzień odpoczynek dla nich i dla kobiet, ogranicza dzień roboczy do 11 godzin dla dzieci do lat 16, a 12 godzin dla kobiet powyżej lat 15-u. Obawiano się jednak wprowadzić nowe przepisy natychmiast w życie, naznaczono przeto termin, upływający dopiero w 1907 r.

Przeciwnicy tego prawa nie starali się nawet ukryć nadziei, że do tego czasu zdołają jej przeistoczyć w duchu wstecznym. Tymczasem konwencya francusko-włoska utwierdza jego istnienie i zapewnia stosowanie, gdyż Włochy zobowiązały się zaprowadzić należytą inspekcyą pracy i ogłaszać corocznie sprawozdanie inspektorów fabrycznych.

Francya wyjednała również obietnicę, że rząd włoski przeprowadzi zmniejszenie dnia roboczego dla kobiet, pracujących w przemyśle. Trudno było żądać coprawda zobowiązania stanowczego, nieprzekroczenia 11 godzin, skoro zastosowanie prawa z 1902 r. tak silnego doznało oporu; niemniej jednak w liście urzędowym Włochy objawiły gotowość wprowadzenia 11-godzinnego dnia dla kobiet, jeśli w chwili odnawiania konwencyi, tj. za lat 5, będzie on ustanowiony w całej Europie.

Konwencya ta, jak widzimy, posiada wielką doniosłość, wpływ jej bowiem rozciągnie się po za granice obu krajów. Francya może obecnie zwrócić się do Belgii, która wysyła do Francyi tyleż prawie robotników co Włochy, i wytwarza takąż samą konkurencyę zbyt długim dniem roboczym. Projekt ujednostajnienia warunków pracy na drodze porozumienia międzynarodowego wypowiedziano na konferencyi berlińskiej, wkrótce po wstąpieniu na tron Wilhelma II, ale wówczas nie doszło do żadnych razultatów praktycznych. Popierało ją Stowarzyszenie międzynarodowe ochrony prawnej robotników, ale jako złożone z osób prywatnych mogło jedynie wyrazić życzenie. Obecny traktat włosko-francuski jest pierwszem urzeczywistnieniem owych dążności. W istocie bowiem jeden z artykułów ustanawia, że udział jednego kraju w jakiejkolwiek konferencyi międzynarodowej obowiązującym jest i dla drugiego. A właśnie rząd Rzeczypospolitej Szwajcarskiej, uznając słuszność jednego z życzeń, wyrażonych przez wyżej wspomniane stowarzyszenie ochrony prawnej robotnikków, zamierza zaprosić rządy na kongres w celu rozpatrzenia kwestyi nocnej pracy kobiet. Niemcy oświadczyły, że przyjmą udział, jeśli państwa sąsiednie będą reprezentowane, udział Francyi jest zapewniony, a zatem i Włochy uchylić się nie będą mogły, niewiadomem jedynie jest dotychczas postanowienie Belgii.

Słowem ujednostajnienie warunków pracy w całej Europie Zachodniej, jakkolwiek nie jest jeszcze faktem dokonanym, przestaje być chimerą, gdyż konwencya włosko-francuska to pierwszy, stanowczy krok na drodze do niego.

J. Z.

NA MARGINESIE

Amerykanie o nauce niemieckiej. W ostatniem sprawozdaniu waszyngtońskiem wydziału oświecenia publicznego (Report of the Commissioner of Education for the year 1900—1901, t. I, str. 127) spotykamy następującą notatkę:

„M. Gaston Deschamps w swem wielce interesującem sprawozdaniu o współczesnem nauczaniu w uniwersytetach amerykańskich wyraża zdziwienie z powodu zależności nauki amerykańskiej od niemieckiej. W Yale np. znalazł on, że znano i używano podręczników niemieckich w zakresie wszystkich przedmiotów z zupełnem pominięciem dzieł francuskich i że wogólności wszystkie studya wyższe odbywały się podług wzorów niemieckich. M. G. D. dodaje z pewną goryczą, że Francuzi, którzy przez ciąg jednego pokolenia rozgłaszali metody niemieckie, winni są teraz tego braku dobrej sławy swojej w Ameryce. Dokładnie obserwując fakty, M. G. D. spostrzegł, że profesorowie amerykańscy, wykształceni w Niemczech, wykładają w języku angielskim o tyle zrozumiale, o ile ktoś poprzednio już studyował w języku niemieckim — i setki początkujących doktorów filozofii szukają sławy akademickiej w „Grundriss'ach," „Abriss'ach," „Aufsätz'ach" i „Abhandlung'ach." Lecz obserwator francuski źle osądził przyczynę i znaczenie częściowego zgermanizowania uniwersytetów amerykańskich. Gdy Edward Everett i George Bancroft udali się w ubiegłem stuleciu do Getyngi, jechali oni nietyle po określone fakty, ile po ideę, i ruch, którego byli rzecznikami, które były prawdziwą ewangelią gruntownego nauczania. My Amerykanie odziedziczyliśmy pewną pogardę dla nauki oraz nieprzezwyciężone zaufanie do zasady: „możesz dobrze robić jakąś rzecz, robiąc ją, nie zaś ucząc się uprzednio, jak należy robić, a później robiąc." Tę brawurę doprowadziły stosunki nasze społeczne do przesady, i jeśli złe zostało naprawione, obowiązani jesteśmy za to duchowi bezinteresownej miłości do nauki i zaufaniu do ostatecznej wartości rzetelnego poszukiwania każdej prawdy, czego nas nauczyli Niemcy. Berliński prof. Paulsen powiada, że w uniwersytetach niemieckich znajdujemy gruntowność, zupełne oddanie się pracy oraz miłość prawdy. Są to przymioty godne naśladowania i studyowania. To też takim był ideał każdego młodego uczonego Amerykanina, Francuza lub Włocha (Anglicy tylko byli ślepi), którzy w piątym, szóstym i siódmym lat dziesiątku dążyli do uniwersytetów niemieckich, aby przywieźć stamtąd stopnie naukowe. Szukano tam przedewszystkiem osławionej metody naukowej, „wissenschaftliche Methode." Groźna ta nazwa oznacza głównie gruntowność, gotowość nieuważania żadnego faktu za zbyt mały i żadnego wysiłku za zbyt wielki w poszukiwaniu prawdy. To oznacza prócz nieszczędzenia pracy w gromadzeniu samych faktów, pewną konstrukcyjną zdolność umysłu, który panuje nad faktami i układa je w pewien stosunek filozoficzny.

Właściwościami temi celowali wielcy uczeni niemieccy, tacy jak Grimm, Dieze, Ranke. Wiedzę swoją, idee swe i siebie oddawali do dyspozycyi tych wszystkich, którzy umiłowali naukę. Dumni mogą być uczeni amerykańscy, jeśli wcześnie poznali, że dobro umysłowe znaleźć można w Niemczech, jeśli go tam szukali, aby do kraju przywieźć i stworzyć owocodajną podstawę naszego własnego życia umysłowego. Opłakiwać, że nasza nauka ma barwę niemiecką, byłoby to samo, co uniewinniać się z tego, żeśmy powstali z łona naszych matek. Zresztą jest to jeszcze kwestyą, czy w latach obecnych my wyłącznie i niewolniczo naśladujemy metody niemieckie. Z metody naukowej zrobić można nieraz i trywialne zastosowanie. Sami Niemcy często jej nadużywają. Nauka cierpi od nadprodukcyi monografij, w których pretensyonalna metoda rozciąga wątłą treść aż do ukazania się w niej rysów. Jest obawa, abyśmy na podobieństwo „czystego rozumu" Kanta nie doszli do „czystej metody." Bywa mania — nie badania czegoś posiadającego wartość, lecz badania wogóle, czegokolwiek. Cobyśmy powiedzieli o uczonym, który liczy i sortuje przymiotniki z popularnej powieści współczesnej, lub który stwierdza, że na 1.000 róż — 333 jest czerwonych, 197 karmazynowych, 69 różowych; cobyśmy sądzili o tym, któryby wykazał swemi dociekaniami, że prze-

ciętna długość zdania dajmy na to Tomasza Hardy była 24,46 w epoce „A pair of Blue Eyes,“ lecz wzrosła do 25,46 w „Jude the Obscure.“ Prace podobne są jeszcze u nas prowadzone w imię nauki. Niesłusznie byłoby Niemców czynić całkowicie odpowiedzialnymi za taką karykaturę ich metody. Oni sami gotowi są przyznać się do wad nauki niemieckiej, które nie ominęły i naszej.

Rozległa inteligencya charakteryzowała zawsze uczonego niemieckiego. Natomiast rzadkiem było subtelne poczucie formy. Entuzyazm, który popycha uczonego po przez trudy do zdobycia rezultatów, znika, gdy rezultat osiągnięty, i ten, który nieraz całego życia nie żałował dla poszukiwania nowych prawd, żałuje często czasu dla podzielenia się swemi zdobyczami i przedstawienia rezultatów osiągniętych w formie jasnej i pociągającej — tak dalece, że tyleż trudu wymaga przeczytanie rozprawy o jego dociekaniach, ile prowadzenie na nowo tych samych dociekań. Pochodzi to w części z temperamentu narodowego, a więcej jeszcze stąd, że uczeni niemieccy piszą jedynie dla uczonych, unikając wykładu przystępnego dla szerszego ogółu ludzi oświeconych. Przez swą wzgardę dla popularyzowania wpadają w zawiłość. Poczucie formy jest tyleż sprawą dobrego zwyczaju, co i dobrego smaku. Uczeni francuscy mają je w wysokim stopniu. Nawet największy erudyta, uczony pisze stylem, który przeciętnie wykształconemu człowiekowi pozwala czytać z przyjemnością i w ten sposób uprzystępnia wyniki swych badań szerszemu ogółowi. W rezultacie powstaje typ uczonego o rzetelniejszym zmyśle proporcyi, z lepszą znajomością świata, w którym żyje i z daleko większym wpływem, niż to zwykle bywa udziałem uczonych niemieckich, co jednak nic robi uszczerbku jego stanowisku, jako specyalisty. My niezawodnie zadaleko poszliśmy w kierunku niemieckim, i jeśli M. G. D. natrząsa się z tego, dotyka miejsca bolącego. Dobrze, żeśmy przejęli od Niemców to wszystko, co jest dobre; lecz wierność względem mistrza nie powinna posuwać się do naśladowania jego błędów. Z tego punktu widzenia jest to obiecującym objawem, że znaczna część naszych młodych uczonych zwraca swój wzrok ku Francyi...“ *Sm.*

Z PRASY.

— Pisma polskie podały list Włodzimierza Spasowicza, ogłoszony w *Now. Wrem.* dnia 4 maja r. b., który tu podajemy.

List ten jest odpowiedzią na korespondencyę też z Warszawy, drukowaną w tejże samej gazecie i podpisaną przez S. Aleksiejewa. S. Aleksiejew wypowiada się tu za rozszerzeniem na miasta Królestwa Polskiego ustawy miejskiej w jej ostatniej redakcyi (z 1892 r.). Pragnienie to podziela ludność całego kraju. Miast w Królestwie Polskiem jest około 109 z dwoma blizko milionami mieszkańców, tj. 1/5 całego zaludnienia. Zarząd gospodarczy miast sprawują magistraty, którym nie podlegają najważniejsze ze spraw, jak: opieka nad biednymi, lecznictwo i sprawy sanitarne oraz szkoły. Uderzającym jest brak stosunku między stanowiskiem społecznem zarządzających miastem a wielką odpowiedzialnością miast co do obowiązków i pożyczek. Koniecznością wydaje się ustanowienie zarządu miejskiego, wybranego z przedstawicieli ludności miejskiej na zasadzie ogólnej ustawy o organizacyi miast.

Dawne Królestwo Polskie ustawą z dnia 19 grudnia 1866 r. ujednostajnione zostało pod względem administracyjnym z Cesarstwem, pominięto jednak miasta, które pozostały dawnemi instytucyami biurokratycznemi bez stanowisk obieralnych. Cały rosyjski ustrój miejski oparty jest na wyborach. Król. Pol., prócz w zarządzie gminnym, tego prawa jest pozbawione. Według korespondenta, już w końcu 1860 r. myślano o wprowadzeniu tu ustawy miejskiej, przeszkodziła temu niedostateczna znajomość języka rosyjskiego u ludności miejscowej. Korespondent, nie siląc się na rozumne wniknięcie w sprawę, ocenia ją w sposób lekkomyślny, tak jak postępowano w podobnych sprawach lat temu 10, 20: pozostawia wyłączne i bezwarunkowe pierwszeństwo językowi państwowemu. W prasie polskiej nie było mowy o usunięciu języka rosyjskiego z instytucyj zarządu miejskiego, lecz uwydatniło się pragnienie tolerowania języka polskiego i wprowadzenia go na równi z państwowym przy wyjaśnieniach podczas posiedzeń, które mogłyby być prowadzone bądź w rosyjskim, bądź w polskim języku. Takie nierozważne rozwiązanie kwestyi językowej zaostrzy niezgodę, istniejącą pomiędzy dwoma narodowościami, paraliżując działalność rosyjskiego ustroju miejskiego w miastach Król. Pol. Według § 2 ustawy miejskiej, głównem zadaniem organów samorządu miejskiego jest dbałość „o zaspokojenie potrzeb miejscowych.“ Mają się one składać z wybieralnych przedstawicieli ludności miejscowej, a mianowicie tej jej części, która jest większością, przyczem obowiązkiem jest uwzględnić język tej większości. Ogromna większość tej ludności włada tylko jednym, swym ojczystym językiem. Walka, tocząca się w Poznańskiem, w Prusach i na Śląsku świadczy, jak silnym środkiem obrony słowiańszczyzny w tych prowincyach jest mowa ludu polskiego. Według art. 45 praw zasadniczych, w I tomie „Zbioru praw“ wolno jest używać w Rosyi wszelkich języków inoplemiennych, miejscowych, a w tej liczbie i polskiego w granicach 10 gubernij Król. Pol. Językowi polskiemu przyznano niektóre prawa w nabożeństwach, w wykładzie szkolnym i w sądach. Następstwa 1863 r. przeszkodziły wprowadzeniu do Król. Pol. sądów przysięgłych, szybko przyswojonych przez Rosyę. W rozprawach stron w sądzie dopuszczono język polski w bardzo małym zakresie. Teraz sądy miejscowe przy śledztwie i rozprawach obchodzą się prawie zupełnie bez tłomaczów.

Co się tyczy używania języka polskiego w samorządzie miejskim; to można oddzielić część kancelaryjno-papierową od ustnych narad i rozpraw na posiedzeniach publicznych rady miejskiej. W sprawach spornych, które mogą podlegać rozpatrywaniu centralnych władz Cesarstwa, papiery i akty powinny być prowadzone w języku rosyjskim. Pożądane byłoby prowadzenie protokółów posiedzeń rady miejskiej w dwóch językach. Nikt nie proponował, aby posiedzenia były prowadzone w jednym tylko języku; pożądane jest, aby wyjaśnienia mogły być dawane nietylko w rosyjskim języku. Gdyby członkowie rad miejskich byli mianowani przez rząd, możnaby utworzyć komplet ludzi, przemawiających po rosyjsku. Ale chodzi o to, żeby wybory były swobodne, żeby gałki wyborcze dostawali, bez względu na uzdolnienie językowe, ludzie, cieszący się zaufaniem wyborców, lub żeby powiedziano otwarcie, że nie mogą być wybierane osoby, nieznające takiego a takiego języka. Taki artykuł uzbroiłby przeciw sobie wszystkie stronnictwa bez wyjątku, uznany za wyraźne i tendencyjne ograniczenie wolności wyborów. Wobec proponowanego przez korespondenta używania języka rosyjskiego bardzo liczni i może najlepsi kandydaci do rady zrzekną się kandydatury; do nich przyłączą się i ci co, choć władają językiem rosyjskim, będą się obawiali, aby zasada narodowości nie poniosła uszczerbku przy nowem prawie. W kwestyach zabarwionych odcieniem narodowościowym należy pamiętać o właściwościach chwili historycznej, którą przeżywamy. Czasy ostrej walki minęły widocznie, ale o złej przeszłości przypominają co godzina odnawiające się jej odgłosy. Obie strony czuwają i bronią granic swego władania, a nowe prawo rodzi nową kwestyę, która powinna być rozwiązana rozumnie i sprawiedliwie. Nie może ona być pozostawiona na łasce i samowoli administracyi. Od tego rozwiązania będzie zależało, czy język polski, który przestał być urzędowym lat temu 40, zachowa należne sobie znaczenie w dziedzinie życia społecznego, czy też będzie z tej dziedziny systematycznie i stopniowo usuwany. Wł. Spasowicz wątpi, ażeby ostatniego rodzaju rozwiązanie było zgodne z istotnymi interesami państwowymi Rosyi.

— W *Peterb. Wied.* czytamy, co następuje o niedawnym wypadku w porcie kronsztadzkim:

„Zapaliły się wióry, których tam stosy całe, dzięki dokonywanym robotom ciesielskim. Ogień zawczasu został spostrzeżony i ugaszony przez żołnierzy i, wówczas dopiero zrozumiano, jak niebezpiecznie było trzymać w pobliżu pyroksylinę bez zachowania środków ostrożności, przepisanych przez ustawę. I teraz dopiero zmiarkowali się i pyroksylinę i naboje przenieśli do bezpiecznych składów. Wszystko to nadawałoby się do dwu lub trzywierszowej notatki kronikarskiej, gdyby przy tej sposobności nie wyszły na jaw straszne szczegóły. Pyroksyliny było tyle, że wybuch jej równałby się wybuchowi Mont Pelee i z całego Kronsztadu kamień by nie pozostał. Wióry napojone były naftą.“

Kronsz. Wiest. zaś donosi, że wskutek tego, z rozporządzenia władz, usunięto z laboratoryów portowych wszystkich wolnonajemnych robotników, zastępując ich wojskowymi, nad portem zaś rozciągnięto nadzór żandarmeryi.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Do ministeryum spraw wewnętrznych wniesiony został projekt zaprowadzenia podatku szpitalnego we wszystkich miastach Królestwa Polskiego.

— W Warszawie i kilku większych miastach państwa rosyjskiego mają powstać oddziały biura emigracyjnego dla Żydów, mieszczącego się w Petersburgu, których celem będzie uporządkowanie wychodźstwa Żydów przez dostarczanie im odpowiednich wskazówek o krajach i państwach najodpowiedniejszych do osiedlania się.

— W warszawskim okręgu sądowym jest czynnych 606 adwokatów przysięgłych, 316 ich pomocników i 34 obrońców prywatnych, dwie trzecie z tej liczby przypada na Warszawę, reszta na inne miasta.

— Sąd okręgowy lubelski w sprawie 25 włościan i włościanek z Zemborzyc, oskarżonych o opór władzy, wydał wyrok, skazujący wszystkich na więzienie od 1 do 3 miesięcy.

— Według doniesienia *Nowosti*, senat przyznał prawo zamieszkiwania w całej Rosyi Żydówkom, które ukończyły wyższe kursa żeńskie.

— *Kawkaz* ogłasza postanowienie gubernatora tyfliskiego, na mocy którego za zbiegowisko na stacyi Tyflis d. 24 kwietnia r. b. dla działań, przeciwnych porządkowi publicznemu i niewykonanie prawnych rozporządzeń policyi, skazano na areszt: na 2 miesiące 7 osób, na 6 tygodni 7 osób, na trzy tygodnie 3 i na tydzień 1 osobę; według rodzaju zajęć: 7 robotników drukarskich i zecerów, 2 robotników fabrycznych, służący fabryczny, kowal i ślusarz, introligator i leśnik, służący w redakcyi, modystka, studen-technolog i 2 osoby bez zajęcia.

— *Russkij inwalid* donosi: „Z polecenia ministeryum wojny przy głównym sztabie zorganizowano specyalny wydział, zbierania wiadomości o zabitych i ranionych oficerach i szeregowcach w wojnie z Japonią. W miarę napływania tych wiadomości, będą one ogłaszane w *Russkim inwalidzie*, a oprócz tego komunikowane miejscowym gubernatorom, którzy zawiadomią krewnych zabitych i ranionych. Ogłaszając o tem, główny sztab prosi, aby zapytania krewnych i znajomych o szeregowców, walczących na Dalekim Wschodzie, skierowane były nie do głównego sztabu, lecz do miejscowych gubernatorów.“

— W Berlinie około 40,000 robotników piekarskich zaprzestało pracować, żądając podwyższenia płacy.

— *Pos. N. Nachr.* piszą: „Nasza polityka względem Polaków rodzi bardzo dziwne owoce. Przy zielonym stole obmyślane są zarządzenia, które wprost się sprzeciwiają warunkom bytu rzeczywistego. Tak

np. umieszczono w kontraktach dzierżawy domem paragraf, obowiązujący dzierżawcę do zatrudniania „tylko niemiecko-ewangelickich" robotników. Łatwiej to napisać niż uczynić, bo skąd ich wziąć, a nie ukraść? Tymczasem interesowani podjęli kroki w Berlinie, aby ministeryum przekonać o niewykonalności tego żądania i tego dziwacznego paragrafu zaniechano."

— Malarze pokojowi i lakiernicy we Lwowie przestali pracować.

— *Kur. Warsz.* donosi: Na zasadzie wydanego świeżo rozporządzenia gubernatora kurlandzkiego wszyscy goście kąpielowi, przybywający do Połągi, mają prawo powracać przez Prusy bez pasportu zagranicznego. Przepustki, posiadające ważność na 28 dni, wydaje władza miejscowa. Dzięki temu udogodnieniu administracyjnemu droga do Połągi ulega znacznemu skróceniu.

— Korespondent *Przegl. Katolickiego* pisze: „Przejazdem na wojnę parę dni bawił w Czycie (gubernialnym mieście obwodu zabajkalskiego) książę Stanisław Radziwiłł, jako ochotniczy oficer pułku kozaków. W Wielką sobotę według starego stylu książę modlił się w naszym, nowym kościele u grobu Chrystusowego; w pierwszy zaś dzień Wielkanocy przykładnie wysłuchał całego nabożeństwa. Potem złożył wizytę proboszczowi przy licznie zebranych przedstawicielach parafii czycińskiej, jak również kilku nowoprzybyłych na wojnę lekarzy warszawskim. Na kościół czyciński książę *z własnej inicyatywy ofiarował 20 rubli*. Do Czyty książę *przyjechał we własnym pociągu*, z Czyty zaś na drugi dzień Wielkanocy *pojechał dalej już w zwyczajnym pociągu pasażerskim*. Młody książę *odznacza się nadzwyczaj ujmującą wykwintnością form towarzyskich*" (*Wiek*).

Szkoły i wychowanie. Szkoły przy leśnictwach rządowych warszawskiem i suchodniewskiem mają być rozszerzone tak pod względem przyjmowania większej liczby kandydatów, jak i w zakresie przedmiotów ogólnie-kształcących.

— Polskie Tow. pedagogiczne urządza po raz pierwszy w r. b. wakacyjny kurs uniwersytecki w Cieszynie na Śląsku austryackim. Odczyty wygłoszą między innymi: prof. dr. Odo Bujwid, St. Głąbiński, J. Kasprowicz, A. Szelągowski, K. Twardowski.

— W celu przygotowania kandydatów na stanowiska telegrafistów kolejowych, postanowiono otworzyć kilka szkół specyalnych. Do szkoły pozwolono przyjmować kobiety, wyłącznie do nauki obsługi telegraficznej, w liczbie nie wyższej niż 10% ogólnej ilości uczniów.

Wiadomości naukowe. W Giessen odbył się międzynarodowy kongres psychologii doświadczalnej, przy licznym udziale uczonych z całej Europy.

— Miss Lilian Tonn powołana została na katedrę historyi ekonomii w uniwersytecie londyńskim.

— Uniwersytety nowojorski i Harvada urządziły wspólnie z towarzystwem przyrodniczem na wyspach Bermudzkich stacyę zoologiczno-biologiczną i wystosowały do zoologów, oraz botaników europejskich zaproszenie, aby zechcieli korzystać z tego nowego zakładu naukowego. Laboratoryum stacyi zaopatrzone jest we wszelkie przyrządy do badania fauny i flory morskiej. Uczeni, którzy zgłoszą się w porę, będą mogli korzystać przez sześć tygodni z gościnności stacyi i wszelkich jej urządzeń.

Zdrowie publiczne. Od sierpnia do listopada r. b. odbędzie się w Paryżu, w Grand Palais, międzynarodowa wystawa hygieniczna środków ratunkowych, sportu, pielgrzymek itp.

Ze sztuki. Komitet Tow. Zachęty ogłasza, że w r. b. wakują następujące stypendya: rb. 222 z funduszu im. Józefa Simmlera; 116 rb. 50 kop. z zapisu Heleny Korwin-Szymanowskiej, oraz 92 rb. 50 kop. na lat 3 z funduszu im. Mikołaja Kopernika. Szczegółów udziela kancelarya Towarzystwa.

— W Salonie Krywulta otworzona została trzecia wystawa wiosenna, na którą zgromadzono około 100 obrazów i rzeźb artystów polskich.

— Architekt, kierujący restauracyą katedry na Wawelu, prof. S. Odrzywolski, zrzekł się dalszego kierownictwa architektonicznego i w tych dniach oddał roboty przez siebie przeprowadzone komisyi, złożonej z delegatów: ks. kardyn. Puzyny, ks. kanon. Wądolnego, członka komitetu restauracyjnego, radcy T. Stryjeńskiego i konserwatora zabytków, dr. S. Tomkowicza. Prof. Odrzywolski opracował przed ustąpieniem szczegółowy inwentarz pozostałych fragmentów i zabytków, dotąd na swem miejscu nieosadzonych. (*Gaz. Pols.*).

Literatura i prasa. Gazeta *Woschod* otrzymała trzecie napomnienie [illegible] nadto zawieszona została na 3 miesiące.

— Zabroniono sprzedaży oddzielnych numerów dziennika *Ruś* i *Peter. Wied.*

Sprawy ekonomiczne. Przy warszawskim zarządzie rolnictwa ma być zaprowadzone biuro, w którem będą zogniskowane wszelkie rozporządzenia i informacye dotyczące statystyki rolnictwa. Ze zbiorów tych będą mogły korzystać także osoby prywatne.

— Technicy warszawscy zamierzają utworzyć Towarzystwo popierania wynalazków swojskich.

— Zawiązały się spółki włościańskie: w Opatowie z 25-rublowymi udziałami; w Węglinie, gub. Lubelskiej, z 10-rublowymi udziałami i Jeżowie, pow. Brzezińskim, z 20-rublowymi udziałami. Do każdej z tych spółek weszło po kilkudziesięciu włościan, zapisują się również ziemianie, księża i mieszczanie-rolnicy.

— W Katowicach utworzyło się górnośląskie Towarzystwo budowlane w celu nabywania obszarów pod budowę polskich mieszkań prywatnych, domów handlowych i spółkowych.

— Według danych, ogłoszonych przez zarząd główny akcyzowy za rok 1903 w Królestwie Polskiem spotrzebowano ogółem około 4 milionów wiader spirytusu, wartości 30 i pół milionów rb., w samej zaś Warszawie z górą 700,000 wiader, za 6 milionów rb., z czego na jednostkę ludności wypada: w Warszawie około wiadra wódki rocznie, w całym kraju około $\frac{1}{3}$ w., co odpowiada wydatkowi: 7 rb. 60 kop. w Warszawie i 2 rb. 85 kop. w kraju na głowę rocznie. Przypuszczając, że $\frac{1}{3}$ ludności wódki nie używa, okaże się, że pijący wódkę wydatkują rocznie na zaspokojenie swej namiętności: w Warszawie około 12 rb. rocznie, w całym kraju około 4 rb.

— Kancelarya kredytowa ministeryum skarbu zawiadomiła banki tutejsze, że dla zapobieżenia masowej sprzedaży papierów procentowych, ministeryum uznało za możliwe pozwolić bankom prywatnym nie wymagać od osób, które zastawiły papiery procentowe, dopłaty różnicy kursowej w tym razie, gdy kurs zastawionych papierów procentowych nie spadł poniżej szacunku, według którego papiery przyjęte były do zastawu. Rozporządzenie to dotyczy tylko papierów procentowych zastawionych przed 14 lutego 1900 r.

Katastrofy. W kopalni węgla Lerries, w St. Illinois, zdarzył się wybuch kilkudziesięciu beczek prochu; w szybie zajętych było 325 górników, wydobyto zaledwie kilka ciał, reszta ofiar zginęła prawdopodobnie pod gruzami podziemia.

Zmarli. Stanisław Sienicki, redaktor *Gazety kieleckiej*.

— Karol Gustaw Manitius, generalny superintendent kościołów i parafij ewangelicko-augsburgskich w Królestwie Polskiem, współpracownik „Wielkiej Encyklopedyi", twórca instytucyj dobroczynnych, który zacnością postępowania, szlachetnością charakteru i gorącem przywiązaniem do kraju zyskał sobie miłość i szacunek powszechny.

— Zelig Słonimski, znany pisarz hebrajski i zdolny przyrodnik, założyciel *Hacefiry* którą przeniósł z Berlina do Warszawy i prowadził w duchu postępowym, w wieku lat 94.

— Kumicz, współczesny pisarz chorwacki, w Zagrzebiu.

Odpowiedzi Redakcyi.

Protektorowi Pałuby. Prenumerator wiedziałby bez naszej pomocy, że w nr. 33 i nie ukrywałby swego nazwiska.

K. J—ski, tłomaczowi Skitalca. Radzimy wiersnowaniu dać pokój. Lepiej popracować nad poprawą języka, aby nie pisać bardy przez *ch* a wzburzony przez *ż*.

OFIARY.

Na powodzian: Anselmka M. kop. 50 Jadzia D. kop. 10.



Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 6 Мая 1904 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.